DZIŚ i JUTRO

GEMMA CIVITATIS * PAX *

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Cena 1 zł

W NUMERZE:

ANDRZEJ MICEWSKI — Perspektywy polityczne ruchu społecznie postępowego katolików polskich

JANUSZ ZABŁOCKI — Nad lekturą Mao Tse-tunga

WOJCIECH KĘTRZYŃSKI — By całe Niemcy stały się krajem pokoju

JERZY STADNICKI — Dobre założenia w dobrych epokach

JANINA PIASKOWSKA — Osiągnięcia aktorskie w „Takich czasach" Jurandota

ROK X. Warszawa, 17 stycznia 1954r. Nr (425) 3

Światła warszawskiego brzegu

ZBIGNIEW CZAJKOWSKI

I

Z praskiego brzegu Wisły roztacza się wieczorem świetlna panorama Warszawy. Tysiące lamp rozrzuconych wzdłuż rzeki, spiętrzonych mozaiką świateł na Skarpie i opadających cienkimi smugami w stronę Bielan i Czerniakowa, układa się w wyobraźni w kształt czarodziejskiego, ogromnego statku, którego kontury stapiają się w czerni nocy. Jedynie płonące okucie kajut i czerwone latarnie Pałacu Kultury i Nauki zawieszone na wyimaginowanych masztach znaczą kształt tego kolosa.

Podobne chwile sprzyjają najczęściej powstawaniu refleksji. Świat fantazji, wyrastający z urzekającego piękna świateł miasta, przysłania rzeczywistość, a noc, będąca zawsze sprzymierzeńcem wyobraźni, pozwala już teraz spełniać się marzeniom. Płonąca łuna świateł nad Warszawą przekształca się w naszej wizji w obraz stolicy przyszłości.

Każdy blask, drżący po drugiej stronie Wisły, nabiera cech dziwnie bliskich. Poza jego dzisiejszym światłem wyczuwamy skupione wkoło niego życie, niemal dostrzegamy ludzi, którzy w tej dziwnej chwili wydają się nam jakimś osobliwym społecznym monolitem, są złączeni, przynajmniej w naszym zrozumieniu, jakąś wspólną cechą, wspólnym pojęciem — odrodzonego miasta.

Przypomnijmy sobie... Nie tak dawno jeszcze, gdyż tylko dziewięć lat temu, warszawski brzeg ział pustką i zniszczeniem. Ruiny miasta przesłaniały swym ogromem wszelką perspektywę nadziei. Dzisiejszy widok rozlskrzonych świateł warszawskiego brzegu wydawałby się wówczas niemniejszą fantazją, jak nasze marzenia o łunie świateł ciągnącej się znad Bielan, znad powstającej huty Warszawa, Żerania, Włoch, Służewca...

Przypomnijmy sobie. Wtedy w ogóle każde pojęcie przyszłości układało się w zarysach jakiejś niepewnej, mglistej perspektywy. Poza nią miał się kryć gdzieś **socjalizm**, pojmowany przez wielu jako „uderzeniowe", gwałtowne lekarstwo, zdolne podobno czynić cuda. Wielu jednak i w to nie wierzyło. Przerażały ich ruiny. Było ich wiele; nie jedna tylko Warszawa leżała przecież w gruzach. Przerażał ich chaos gospodarczy i społeczny. Któż się w tym połapie? Kto będzie zdolny uporządkować kraj, sprawy ludzi, tysiące zagmatwanych spraw, gdy niezorane są ziemie, fabryki opustoszałe i zrujnowane, a w lasach włóczą się bandy? Był wtedy rok 1945.

II

DZISIAJ wydaje się już truizmem twierdzenie o wyższości ustroju socjalistycznego nad kapitalizmem. Dorobek gospodarczy i kulturalny kilku tylko lat naszego porządku społecznego kilkakrotnie przewyższył bilans całowiecznego na tym polu wkładu kapitalizmu. Porównanie wyników i osiągnięć przesądza bezspornie o słuszności wybranej drogi. Wszystko co nas otacza, co wynikło z układu naszych warunków społeczno - gospodarczych i co jest ich zasługą, wydaje się nam oczywiste. Po prostu jesteśmy przyzwyczajeni do szeregu faktów dotąd niecodziennych, nigdy nie spełnianych, tak jakby ich realizacja wynikała z samej tylko akceptacji nowego ustroju. Przywykliśmy więc do tego, że nie ma u nas bezrobocia, że wszystkie dzieci mają udostępnioną naukę w szkołach, nie oszałamia nas tempo budowy wielkich fabryk, dróg, mostów, osiedli mieszkaniowych, stały się już poniekąd powszechne zjawiska masowego czytelnictwa, odbioru kulturalnego.

Niewątpliwie, to dobrze, że nie wydziwiamy w przedwojennym stylu „samouwielbienia" i kreowania mocarstwowości, że ocenę naszego dorobku cechuje spokój, rzeczowość, często nawet krytyka prowadząca do twórczego stosunku wobec rzeczywistości. Dobrze, że staramy się uniknąć taniego pieniactwa i samozachwytów nad rzeczami, które właściwie, obiektywnie oceniając, nie mają precedensu w naszej historii.

W tym spokojnym, rzeczowym podejściu do nowych warunków życia tkwi wielkość osiągnięcia. Nie jest to wyrazem, jakby się wydawało i jak pisałem powyżej, „spowszechnienia" zjawisk czy też braku zaangażowania się uczuciowego. Wyrazem emocji i powszechnego entuzjazmu są przede wszystkim nie słowa, lecz czyny, są zobowiązania produkcyjne robotników, są ważkie głosy w publicznych dyskusjach nad poziomem, treścią, jakością wykonywanego dzieła, jest wreszcie walka wypowiedziana brakoróbstwu, marnotrawstwu czy też niewłaściwej postawie moralnej, nazwanej pospolicie chuliganerią.

Raczej podejście pełne spokoju i powagi jest zgodne z tym, co można by określić „miarą epoki", jej nową normą, normą coraz bardziej zaostrzającą się nowymi, twórczymi kryteriami i wartościami, rosnącymi wraz z rozwojem ludzi, z poznawaniem i odkrywaniem przez nich praw nauki, podporządkowaniem sobie przyrody, wytwarzaniem coraz precyzyjniejszych i skuteczniejszych narzędzi produkcji.

Jednak wydaje się rzeczą słuszną, aby co pewien czas rzucić okiem wstecz, dokonać przeglądu osiągnięć i zestawić je z latami przedwojennymi i z podstawą wyjściową nowych czasów — z rokiem 1945, z ruinami Warszawy, z ruinami całej Polski.

Porównanie takie pozwoli nam na pełną ocenę wyników, na zestawienie ich z dorobkiem dwudziestolecia, który reklamował się Porąbką, kilkoma fabrykami COP-u, Gdynią. Porównajmy z nimi obecne wyniki. Nowa Huta, której rozmach, wielkość, zakres planowanej produkcji zdołał podniecić dość opanowanych deputowanych francuskich, zwiedzających niedawno temu Polskę, tak, że wyrazili się z podziwem o gigancie naszego przemysłu, taka właśnie jedna Nowa Huta przewyższa przedwojenne sukcesy produkcyjne. A przecież Nowa Huta nie jest jedynym zakładem przemysłowym, które powstają w Polsce Ludowej. Jest ich setki rozrzuconych po całym kraju, rozładowujących trudne problemy przeludnienia wsi, uprzemysłowienia terenów, stanowiących do niedawna prawdziwą gospodarczą „tabula rasa". Przecież porównanie społeczno - gospodarcze Polski Ludowej z dwudziestoleciem sanacyjnych rządów nie przebiega tylko na płaszczyźnie przemysłu, ale również i na pozostałych odcinkach życia gospodarczego, społecznego, kulturalnego.

Wreszcie porównanie takie umożliwia nam pełną ocenę wyników i stwierdzenie, czy już jesteśmy zdolni dzięki dotychczasowemu wkładowi pracy dyskontować w większym tempie wkład w budowę kraju, korzystać z jego owoców. Jest to jeden z najważniejszych i najistotniejszych momentów nowej epoki. Fakt, że skutki wniesionego trudu, poświęcenia, zapału mogą się stać źródłem poprawy warunków życia ludzi, podniesienia ich stopy bytowej i kulturalnej fakt taki napawa optymizmem, radością, fakt taki jest największym osiągnięciem lat powojennych.

Uchwały IX Plenum Komitetu Centralnego Partii i decyzje władzy ludowej, zmierzające do podniesienia stopy życiowej ludności, zwiększenia siły nabywczej, poprawy ilości i jakości przemysłu konsumpcyjnego — są wyrazem urzeczywistniania podstawowej tezy socjalizmu — troski o pełny rozwój człowieka.

III

DROGA, jaką przebyła Polska Ludowa od dnia, w którym Armia Radziecka i walczące u jej boku polskie oddziały oswobodziły Warszawę, mierzona jest słupami milowymi sukcesów i osiągnięć. Trzeba jednak przyznać, że droga ta nie zawsze była łatwa. Od samego swego początku napotykała na trudności, przygotowywane jej przez wrogów postępu, przez rodzime resztki reakcji, przez koła emigracyjne, politykę państw imperialistycznych.

Gdybyśmy spróbowali zestawić z sobą i przeprowadzić analizę metod prób reakcyjnych, zmierzających do podważenia ustroju Polski Ludowej, uderzyłby nas oryginalny rys przemiany środków walki, prowadzonej przez reakcję. Widać wyraźnie odejście wrogiej propagandy od argumentacji społeczno - gospodarczej, a przejście do sfery uczuciowej, odwoływania się do serc, sumienia, wreszcie apelowanie do „zagrożonej" wiary katolickiej. Oczywiście, że skuteczność tej czy innej walki przegranych kół emigracyjnych jest i pozostanie znikoma, wpływ ich głosów na rzeczywistość polską jest zerowy, niemniej jednak muszą oburzać nas te głosy, które usiłują podważyć w jakikolwiek sposób dorobek naszego trudu, umniejszyć go i oszkalować.

Na cóż się zdały „komentarze" kół emigracyjnych, podważające swego czasu wykonanie Planu Trzyletniego, wyrokujące o jego „załamaniu", opisujące „pustynie gospodarcze" na Ziemiach Zachodnich, komentarze tak dziwnie zgodne w treści i w napastliwej formie z głosami niemieckich rewizjonistów? Na cóż się zdały fantastyczne enuncjacje o upadku gospodarczym w Polsce, o głodzie panującym z powodu trudności w rolnictwie?

(Ciąg dalszy na str. 4)

JERZY LIEBERT

z „Kołysanki jodłowej"

Piosenka do Warszawy

„O ty, młodości mej stolico..."
(C. K. Norwid)

Warszawo ach, któryż to raz
Od murów twoich biegłem precz —
W oddali nikł Zygmunta miecz,
Zamek królewski, Nowy Zjazd...

Po wszystkie czasy klnąc twój bruk,
Twój blichtr i szyk, twój gorzki chleb,
Zmykałem stąd, zachodząc w łeb —
Jakżem choć dzień wytrzymać mógł...

A później — przez Kierbedzia most,
Warszawo, powracałem znów,
Nieśmiały, pełen tkliwych słów
I jakże czuły na twój głos...

Znajdźcież mi drugi taki gród —
Ten smętny czar, ten senny tłum,
Górnych i durnych pełen dum,
Niezłomnych wad, zabawnych cnót...

Znajdźcież mi drugi taki kąt,
Co tak sam w sobie — z siebie rad,
Ani ogląda się na świat...
I mówcie — jakże biec mi stąd?...

Coś solą w oku naszych miast,
Warszawo, kocham nóg twych rytm,
Twój spleen, twój lombardowy kwit,
Co oko piekł nie jeden raz...

Twój akcent w uszach moich brzmi
I mimo klątw, krakowskich gróźb —
Kocham twe cuś i twoje ktuś
I czarujące zawsze ji...

Tu wschodzi laur, zakwita mirt,
Echem rozbrzmiewa wzdłuż i wszerz —
Lechonia żart, Tuwima wiersz
I Boya-mędrca z muzą flirt...

Ani tu Zachód, ani Wschód —
Coś tak jak gdybyś stanął w drzwiach...
Tu krewnych mam — rodzinka, ach
Forsytów naszych wdzięczny ród...

Tu snobów, czytelniku, wierz
Królestwo — o tym wiem coś sam:
Pewnego dygnitarza znam
I fabrykanta cukrów też...

Bóg z nimi... Gwiazda twoja trwa
Jasna pośród rodzimych sfer —
...Gdzieś jakiś widok... jakiś skwer...
Jakaś znad Wisły wiotka mgła...

Uliczki wylot... pomnik... plac...
Gdzieś jakiś dom... gdzieś jakiś róg,
Na którym dzień bym marzyć mógł,
Czuły — pod bystrym okiem władz...

Ty myśli naszych, naszych serc,
Przeczuwasz dzieje, umiesz treść —
Listopad wiesz, majową wieść...
I... duszno tu, tak prawdę rzec.

To pewne — nie ma w tobie zdrad,
Ty w oczy nasze patrzysz wprost,
A bruk twój wydać może głos,
Na dźwięk którego Norwid bladł...

O, miasto pierwszych moich łez,
Bladziutkich uczuć — słodkich drzazg,
Anielstwa mego, Bożych łask...
I pierwszych burz, i pierwszych klęsk...

Warszawo, twój dziś słyszę głos,
Gdy z szumem biegnie, rośnie wiew
Pośród huculskich wzgórz i drzew,
Dokąd mnie, nie chcąc, zagnał los...

(sierpień 1930)

ANDRZEJ MICEWSKI

Perspektywy polityczne ruchu społecznie postępowego katolików polskich

Wielu ludzi zapytuje o perspektywy polityczne ruchu społecznie postępowego katolików polskich. Proces tworzenia się form organizacyjnych ruchu, Komisji Duchownych i Świeckich Działaczy Katolickich przy Froncie Narodowym, wzmógł zainteresowanie rozwojem i perspektywami naszej działalności. Zainteresowanie tym problemem przejawia wielu księży, którzy dotychczas trzymali się zdala od pracy ideowo-politycznej, a obecnie — pod wpływem rozszerzenia platformy ruchu, czego wyrazem było utworzenie nowych komisji — zaczynają czynnie angażować się w działalność ruchu społecznie postępowego.

W tym stanie rzeczy istnieje potrzeba zarysowania elementów ideowo-politycznych, w których zawiera się perspektywa ruchu społecznie postępowego katolików polskich. Perspektywa ta — najogólniej biorąc — zależy od realizacji tych założeń ideowo-politycznych, których teoretyczne sformułowania i początkowa realizacja w ramach dotychczasowych organizacji katolickich społecznie postępowych doprowadziła do utworzenia nowych form organizacyjnych. Konkretnie rzecz biorąc — Komisja Duchownych i Świeckich Działaczy Katolickich Frontu Narodowego musi konsekwentnie w działaniu ideowo-politycznym realizować cele wynikające z założeń teoretycznych, których przyjęcie doprowadziło do powstania nowych form ruchu.

Z tezy tej wynika konieczność zastanowienia się nad zarysowaniem podstawowych zadań ruchu wypływających z jego założeń teoretycznych. Zadania te muszą być ujęte dosyć precyzyjnie i konkretnie, by nie gubić rzeczy w wielu słowach. Zadania, których bardzo wiele wynika z programu Frontu Narodowego, trzeba hierarchizować z punktu widzenia ich wagi oraz możliwości realizacyjnych Komisji.

Rzecz prosta, podstawowym zadaniem ruchu społecznie postępowego katolików w Polsce, ściśle związanym z perspektywami ruchu — jest praca w kierunku całkowitej i ostatecznej przemiany świadomości ideowo - politycznej duchowieństwa i katolików świeckich, tak aby wyrazem świadomości katolików, duchowieństwa i jego hierarchicznych szczytów była ideowa aprobata socjalistycznych założeń społeczno-gospodarczych, a tym samym — czynny, konstruktywny stosunek do budownictwa i rozwoju Ludowego Państwa Polskiego. Chodzi o to, żeby społecznie twórcze cechy światopoglądu katolickiego zmobilizowały ludzi do ofiarności i pracy na rzecz budownictwa socjalistycznego. Światopogląd katolicki zawiera głęboką motywację postawy twórczej społecznie, rzecz polega na tym, aby wyrażała się ona w życiu, w czynnym patriotyzmie wobec Ludowej Ojczyzny.

Osiągnięcie tych celów jest możliwe przez systematyczną akcję przekonywania duchownych i świeckich katolików wszystkimi metodami pracy propagandowej, publicystyką, organizacją zjazdów itd. Chodzi jednak także o czynny udział księży i świeckich katolików w pozawyznaniowych sprawach państwowych. Jest wiele takich spraw ogólnonarodowych, jak choćby ostatnio — realizowanie linii Partii i Rządu w sprawie podniesienia stopy życiowej społeczeństwa, czy też inne problemy wynikające z programu Frontu Narodowego. Czynny udział katolików w realizacji tego rodzaju zadań ogólnonarodowych będzie pogłębiał świadomość ideowo-polityczną ruchu, będzie się przyczyniał do rozwoju Polski, a tym samym będzie budował perspektywy ruchu społecznie postępowego katolików. Związanie się ruchu z problematyką pozawyznaniową mającą charakter ogólnonarodowy, który wynika z programu Frontu Narodowego, jest niewątpliwie jednym z najistotniejszych elementów społecznej użyteczności ruchu a zarazem jego perspektyw.

Istnieją również pewne zasadnicze zagadnienia, które należy postawić jako specjalne zadania ruchu społecznie postępowego katolików w Polsce, ściśle wiążące się z jego perspektywami politycznymi. Chodzi tu o przeniesienie do wszystkich terenowych ogniw ruchu, a w szczególności na teren komisji wojewódzkich, zrozumienia zewnętrznej roli ruchu społecznie postępowego. Rola ta polega na tym, że ruch nie może widzieć swoich zadań wyłącznie sam w sobie, tzn. w swoim rozwoju organizacyjnym i w procesie przyczyniania się do przemieniania świadomości ideowo-politycznej katolików. Ruch społecznie postępowy musi natomiast, także na szczeblu terenowym, dostrzec pewne zagadnienia polityczne wewnętrzne i międzynarodowe, przy których rozwiązywaniu Komisja Duchownych i Świeckich Działaczy Katolickich powinna brać żywy udział. Zagadnienia te — to przede wszystkim stosunki między Kościołem a Państwem w Polsce, a następnie — pewne problemy sytuacji międzynarodowej, wynikające z organizowania na zachodzie pod hasłami katolickimi krucjaty wojennej przeciwko krajom socjalistycznym, a co za tym idzie — nadużywanie autorytetu poszczególnych Episkopatów i Stolicy Apostolskiej dla celów politycznych, a wreszcie — wyraźne przejawy antypolskiej działalności pewnych kół politycznych w Watykanie.

Pierwsze zagadnienie — to sprawa stosunków kościelno - państwowych w Polsce. Z założeń teoretycznych ruchu społecznie postępowego wynika opowiedzenie się za linią dwustronnego porozumienia Kościoła i Państwa. Otóż trzeba walczyć o ugruntowanie się świadomości we wszystkich komisjach, że powinny one stanowić polityczne narzędzie realizacji dwustronnego porozumienia, jako reprezentatywny głos opinii społecznej najszerszych rzesz katolickich i jako konkretna siła ideowo - polityczna, uzdolniona do konsekwentnego stwarzania faktów i działania w kierunku umacniania i pogłębiania linii porozumienia i rozstrzygania w jej duchu poszczególnych problemów istotnych dla Kościoła i Państwa, które wyłaniają się stale, tak na szczeblu terenowym, jak na szczeblu centralnym. Rola Komisji jest w tej dziedzinie olbrzymia, choć może jeszcze niedostatecznie skrystalizowana na szczeblu wojewódzkim. W każdym razie wydaje się, że pierwsze zadanie polega na utwierdzeniu wśród terenowych działaczy Komisji poczucia odpowiedzialności za rozwój stosunków między Kościołem a Państwem w ich województwie oraz na pogłębieniu świadomości tych działaczy co do roli Komisji dla prawidłowego kształtowania się stosunków kościelno - państwowych, w myśl linii dwustronnego porozumienia.

Następne zagadnienie polega także na pogłębieniu świadomości Komisji, zwłaszcza na szczeblu terenowym, co do roli ruchu społecznie postępowego katolików w obronie interesów polskiej racji stanu na terenie międzynarodowym oraz na jej roli w ustosunkowaniu się do nadużyć czynionych na Zachodzie wobec doktryny katolickiej i instytucji Kościoła dla celów wojenno - politycznych. Rola ta jest olbrzymia, nikt bowiem inny w Polsce nie może być bardziej niż ruch społecznie postępowy katolików powołany do tego, aby demaskować rzeczywiste nadużycia katolicyzmu na Zachodzie w imię troski o prawdę i czystość ideologiczną niezmiennych założeń religii katolickiej oraz aby demaskować te koła polityczne katolików w różnych krajach, a nawet w Watykanie, które działają przeciwko polskiej współczesnej racji stanu. Ruch społecznie postępowy katolików w Polsce zdaje sobie doskonale sprawę, że przy rozpatrywaniu tych zagadnień obowiązuje katolika maksimum wierności doktrynie, dojrzałości ideologicznej oraz wyczuwanie tego, co zowiemy *sensus catholicus*. Toteż ilekroć poruszamy tego rodzaju problemy, jak antypolską działalność pewnych kół politycznych w Watykanie, zawsze dostatecznie silnie podkreślamy przedtem wszystkie obowiązujące katolika wymogi wobec nienaruszalnej cechy jedności Kościoła powszechnego, którego głową i najwyższym autorytetem w sprawach wiary, moralności i jurysdykcji jest namiestnik Chrystusa, następca Piotra, Ojciec Święty. Ale jednocześnie ruch społecznie postępowy wzbogacił swój dorobek teoretyczny przekonaniem, że właściwe oddzielenie sakralnego autorytetu i władzy Ojca Świętego i biskupów od spraw politycznych będzie z korzyścią właśnie dla autorytetu i dla instytucji władzy kościelnej. Im bardziej wyraźnie i bezkompromisowo oddzielać się będzie dziedzinę niezmiennych praw doktrynalnych od zmiennych problemów politycznych — tym mniejsze będzie niebezpieczeństwo nadużywania religii lub autorytetu władzy kościelnej dla jakichkolwiek celów stojących poza dobrem katolicyzmu.

Po tym wyjaśnieniu, do którego zawsze jesteśmy zobowiązani, możemy już śmiało podkreślić rolę ruchu społecznie postępowego jako narzędzia katolickiej opinii społecznej i wyrazu konkretnej siły politycznej, która strzeże polskich interesów narodowych.

Niewątpliwie, centralnym zagadnieniem w trosce o udział katolików w realizacji współczesnej polskiej racji stanu — jeśli chodzi o forum międzynarodowe — jest walka o ostateczną stabilizację administracji kościelnej na Ziemiach Zachodnich, tak aby diecezje miały swoich konsekrowanych ordynariuszów oraz by granice diecezji pokrywały się z pokojowymi granicami Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej na Odrze i Nysie.

Może ktoś powiedzieć, że są to zagadnienia stare, których poruszenie akurat w tym momencie jest nie na czasie. Będzie on jednak w błędzie, ponieważ wszystkie wspomniane wyżej problemy — czy się komuś podoba, czy nie — będą stanowiły w bliższej lub dalszej przyszłości rzeczywistą treść stosunków kościelno-państwowych w Polsce oraz z całą pewnością będą miały reperkusję na forum międzynarodowym. Dlatego też tak ważne jest, aby ruch społecznie postępowy katolików coraz głębiej ugruntował w swej świadomości wagę tych problemów oraz fakt, że nie może pozostać wobec nich obojętny, a nawet więcej, że jest główną siłą polityczną, która powinna wytyczać i realizować linię katolików polskich co do tej sprawy. Przenoszenie tej problematyki na szczebel wojewódzki, dokonywane przede wszystkim poprzez poświęcanie coraz większej ilości czasu na generalne omawianie na zebraniach polityki miedzynarodowej, na której tle szczególnie jaskrawo uwidocznią się interesy polskie i ich zagrożenie, spowoduje, że ruch społecznie postępowy katolików w Polsce będzie czułym i czynnym instrumentem realizacji zewnętrznej swego programu. Chodzi o to, aby ugruntować przekonanie, że tak jak w zakresie przemiany świadomości katolików w Polsce interesujemy się np. zagadnieniami wychowawczymi, względnie atmosferą ideową w poszczególnych instytucjach kościelnych (np. seminariach), tak w zakresie zewnętrznej działalności ruchu interesujemy się granicami diecezji kościelnych na Ziemiach Zachodnich, propagandą zachodnio - niemiecką na temat każdego posunięcia kościelnego na tym odcinku, a wreszcie — stanowiskiem Stolicy Apostolskiej wobec słusznych żądań Polski. Im silniej, bardziej zdecydowanie i donośnie będziemy zabierali głos w tych sprawach, dbając jednocześnie gorliwie o ich doktrynalne ustawienie z punktu widzenia autorytetu religijnego Ojca Świętego, tym bardziej będą się z nami liczyć i tym większe będziemy mieli szanse uczynić coś dla polskiej racji stanu.

Jest już rzeczą zupełnie jasną, że oba poruszone wyżej zagadnienia, tzn. rola komisji w kształtowaniu linii dwustronnego porozumienia Kościoła i Państwa, jak i jej rola w dziedzinie reprezentowania za granicą wobec świata katolickiego słusznych postulatów narodowych Polaków, łączy się i w dużej mierze decyduje o perspektywach politycznych ruchu społecznie postępowego katolików w Polsce. Trzeba się jednak jak najbardziej stanowczo odżegnywać od takiego stawiania sprawy, że Komisja zabiera głos w pewnych sprawach, bo to jej daje perspektywy polityczne. Komisja będzie walczyła o linię dwustronnego porozumienia Kościoła i Państwa oraz będzie demaskowała próby nadużywania Kościoła na Zachodzie dla celów antypolskich dlatego, że sprawy te są obiektywnie słuszne i wynikają z jej założeń ideologicznych. Świadomość, że w ten sposób ruch społecznie postępowy katolików buduje swe perspektywy polityczne, jest oczywiście ważny, ale stanowi zagadnienie odrębne.

Ruch społecznie postępowy katolików w realizacji swojej linii we wszystkich wymienionych wyżej sprawach posiada autorytatywne uogólnienia w postaci deklaracji Episkopatu i oświadczenia Rządu z dnia 28 września 1953 r. oraz w przemówieniach przedstawiciela Rady Ministrów i przewodniczącego Episkopatu w czasie ślubowania Episkopatu w dniu 17 grudnia 1953 r. Ruch społecznie postępowy poczytuje sobie za powód do dumy fakt, że był wraz z Episkopatem i Rządem współtwórcą linii ideowo - politycznej, która doprowadziła do deklaracji Episkopatu z dnia 28 września 1953 r., a następnie — do ślubowania Episkopatu na wierność Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Dlatego też z całym przekonaniem możemy powołać się—przedstawiając zadania ruchu — na słowa przewodniczącego Episkopatu, Jego Ekscelencji ks. Biskupa Michała Klepacza, wypowiedziane w czasie ślubowania:

„Duchowieństwo katolickie widzi swą misję i obowiązek patriotyczny w uczestniczeniu w zbiorowym wysiłku całego narodu dla podniesienia powszechnego dobrobytu, bezpieczeństwa kraju i świetności naszej Ojczyzny, co zarazem jest gwarancją odrzucenia wszelkich prób wykorzystywania uczuć religijnych dla celów antypolskich.

Gdy po stuleciach niewoli i obcego ucisku wróciły do macierzy Ziemie Zachodnie — my, Episkopat i duchowieństwo polskie nie będziemy szczędzili wysiłków, aby również organizacja Kościoła na tych ziemiach w pełni odzwierciedlała ich całkowite zespolenie z Macierzą, ażeby te ziemie wbrew wrogim zakusom rozwijały się jak najpomyślniej jako odwiecznie polskie"

Ze słów tych jasno wynika program katolików polskich. Ruch społecznie postępowy widzi w konsekwentnej realizacji tego programu drogę służby Kościołowi i Narodowi, tj. pracę, która równocześnie przyczynia się do zadośćuczynienia racji stanu Ludowego Państwa Polskiego, tworząc zarazem perspektywę religijnej misji Kościoła i perspektywę ideowej działalności społecznie postępowych katolików w Polsce.

JAN KOWAL

Przyjaźń

Lot pocisków wykreślał drogi
I szła tymi drogami bitwa,
Gwiazdą wojny toczył się ogień,
Chmur wiosennych rozpalając witraż.

Łatwo sercu nakazać powrót,
Trudno oczom rozpacz odebrać,
Miasta, miasta o strzaskanych czołach
Tłumią oddech w wypalonych żebrach.

Podał dłoń towarzysz ze szlaku,
Niby kwiat z serca wyrosłą
I nadzieja rozbłysła wiarą,
Srebrną rzeką w pierścieniach mostów.

Szyny w jutro obrosły dźwiękiem,
Druty pragnień słowem nabrzmiały,
Dymem fabryk zachłysnął się błękit,
Mruczał węgiel na chwałę rąk śmiałych.

Dzisiaj światło pionową struną
Noc rozcina w jasną strzelistość,
Motyl ognia na szczyt pofrunął,
Skrzydła iskier rozpinając w przyszłość.

Biały kontur w górę się smuży,
Aż się w nieba miękkość zatracił,
Kwitnie nad nim gwiaździsta róża
Zapalona rękami przyjaciół.

Sława erze otwartych oczu,
Strzelającym kondygnacjom sława,
Żołnierzowi, który rozpoczął
Przyjaźń — która rośnie jak pałac.

NOTATNIK GOSPODARCZY

O dalszy wzrost dobrobytu

Rok 1953 upłynął pod znakiem dalszego wzrostu produkcji w wielu działach naszej gospodarki narodowej. Już 29 grudnia ub. roku komunikaty prasowe podały, że dwa podstawowe przemysły: górniczy i hutniczy wykonały przed terminem swoje plany produkcyjne. Zresztą nie tylko te przemysły zrealizowały przedterminowo zadania nakreślone planem. Wiele zakładów innych gałęzi przemysłu oraz szereg przedsiębiorstw usługowych — podejmując zobowiązania produkcyjne na cześć II Zjazdu PZPR — przyśpieszyło znacznie wykonanie planów rocznych. To nieustanne dążenie niemal każdego zakładu wytwórczego do zwiększenia produkcji oraz oszczędnego gospodarowania surowcami i materiałami pomocniczymi — stanowi jeden z podstawowych warunków zabezpieczenia dalszego wzrostu stopy życiowej. Szczególne znaczenie ma tu jednak terminowa realizacja produkcji przez podstawowe przemysły.

Dzięki bowiem na przykład wykonaniu planu przez resort górnictwa nie tylko uzyskujemy wystarczającą ilość węgla jako paliwa i opału, ale równocześnie zabezpieczamy produkcję „wielkiej chemii", dla której węgiel jest jednym z podstawowych surowców wytwórczych oraz — przede wszystkim — stwarzamy możliwości produkcji stali i innych wyrobów hutniczych. Zdajemy sobie sprawę, że stal stanowi podstawę rozwoju i mocy gospodarki narodowej. O wielkim sukcesie, jaki odnieśliśmy na tym odcinku produkcji, świadczy fakt, że w roku ubiegłym wyprodukowaliśmy 3.600 tys. ton stali, czyli przeszło 2,5 razy więcej niż w 1938 r. Wykonanie planu z nadwyżką w zakresie stali oznacza z kolei, że zabezpieczona została produkcja podstawowej gałęzi przemysłu ciężkiego — przemysłu budowy maszyn, że w znacznej mierze zabezpieczono produkcję przemysłu lekkiego, wytwarzającego przedmioty codziennego użytku, a wreszcie że stworzono odpowiednią bazę dla dalszej mechanizacji rolnictwa. To zaś, przy równoczesnym zwiększeniu inwestycji w dziale rolnictwa i polepszeniu metod uprawy i hodowli, przyczyni się do uzyskania wyższych plonów, do dostarczenia na rynek większych ilości produktów.

Znaczenie wzrostu produkcji przemysłu lekkiego, a przede wszystkim rolnictwa dla podniesienia stopy życiowej ludności jest oczywiste. Przemysł lekki dostarcza bowiem takie artykuły, jak tkaniny, obuwie, itd., a rolnictwo podstawowe produkty spożywcze, jak mleko, tłuszcze i mięso oraz surowce, od których uzależniona jest z kolei produkcja przemysłu artykułów konsumpcyjnych.

Tezy przyjęte przez IX Plenum KC PZPR — zmierzając do podniesienia dobrobytu ludności — zawierają rozwinięty plan działania mający na celu m. in. zabezpieczenie planowego wzrostu produkcji rolnej. Zadania zawarte w Tezach zmierzają w szczególności do wyrównania dysproporcji, jaka zaistniała między produkcją przemysłową i rolniczą, do podniesienia tej ostatniej w ciągu najbliższych dwóch lat o 10%.

Zrozumiałe jest, że obecne zwiększenie nakładów inwestycyjnych na rolnictwo i przemysł lekki możliwe jest, ponieważ produkcja przemysłu ciężkiego osiągnęła wyznaczony poziom, a nawet w wielu wypadkach znacznie go przekroczyła, przewyższając niejednokrotnie dość znacznie poziom produkcji przedwojennej. Tak np. produkcja przemysłu maszynowego, obliczona średnio na jednego mieszkańca, wzrosła 9-krotnie w porównaniu z okresem przedwojennym.

Wytyczne zawarte w Tezach przewidują m. in. podniesienie w ciągu lat 1954 — 55 realnych płac robotników i pracowników umysłowych oraz realnych dochodów chłopów pracujących o 15%.

Kierując się tymi wytycznymi Rząd nasz już 15 listopada ub. r. uchwalił częściową obniżkę cen.

Zbliżające się obrady II Zjazdu PZPR uchwalą jako obowiązujące prawo ostateczne wytyczne, jakie ukształtowały się w toku dyskusji przedzjazdowej. Będzie to niewątpliwie dalszy krok na drodze do stałego wzrostu dobrobytu ludności.

Z. U.

JANUSZ ZABŁOCKI

Nad lekturą Mao Tse-tunga

Nareszcie na półkach księgarskich ukazał się tom pierwszy oddawna zapowiadanych „Dzieł wybranych" Mao Tse-tunga. Wydanie ich w języku polskim było bardzo pożądane. Umożliwi ono czytelnikowi polskiemu zapoznanie się z dorobkiem teoretycznym wielkiego przywódcy narodu chińskiego, którego sześćdziesiąta rocznica urodzin minęła niedawno, naświetli drogę, którą przebył walczący o wyzwolenie społeczne lud chiński i jego partia, wreszcie przybliży nam problematykę narodu chińskiego, z dnia na dzień bardziej ważką w skali ogólnoświatowej, a tak dla nas wciąż jeszcze mało znaną.

Jest rzeczą charakterystyczną, jak niewiele przeciętny inteligent u nas wiedział do niedawna o Chinach. Ten kraj o ludności liczącej prawie czwartą część ludności świata, o starej i bogatej kulturze, o wspaniałych perspektywach rozwojowych na przyszłość — zajmował w bagażu wiadomości abiturienta szkoły średniej miejsce o wiele pośledniejsze niż efemeryczna Fenicja, Lacedemonia czy Beocja. Tym radośniej powitać należy dzisiaj fakt, że dokonany w Chinach przewrót socjalny, który naród chiński — spychany dotąd do roli pariasa w rodzinie narodów — wyprowadził znowu na arenę wielkiej historii, wprowadza zmianę i w tej dziedzinie. Wspólna przynależność współczesnej Polski i współczesnych Chin do jednego obozu pokoju i postępu kruszy dzisiaj w naszej wiedzy o tym kraju ów „mur chiński", jaki wznosili przez dziesiątki lat ci, w których interesie było utrzymywanie Chin w roli peryferycznej kolonii, eksploatowanej przez zamorski kapitał.

EGZOTYKA I SPRAWY WSPÓLNE

Odległość problematyki chińskiej od naszego przeciętnego zasobu wiadomości historycznych i geograficznych sprawia, że każdy, kto wczytuje się w „Dzieła wybrane" Mao Tse-tunga, nie może się oprzeć bijącemu z kart tej książki wrażeniu egzotyki Chin; egzotyki kraju, w którego miastach rozwijają się już pierwociny kapitalizmu, ale wieś — niedostępna tym przemianom — pozostaje nadal pod panowaniem feudalizmu, systemu rodowego, kultu przodków i swoistych obyczajów ludowych. „Często okazuje się — pisze Mao Tse-tung — *że w wiejskich organizacjach partyjnych, ustanowionych według kryterium terytorialnego, wszyscy członkowie komórki noszą to samo nazwisko, a zebranie komórki jest po prostu zebraniem rodu. W tych warunkach tworzenie „bojowej partii bolszewickiej" jest rzeczywiście nie tak łatwą sprawą!*"[1]) Kraju, gdzie pogrążona w odwiecznej ciemnocie i zacofaniu masa chłopska uprawia prymitywnymi narzędziami dzierżawioną od obszarników ziemię, bezlitośnie uciskana czynszami i procentami od pożyczek, a w latach „złych" dziesiątkowana głodem i epidemiami; gdzie obszarnicy utrzymują własne, prywatne oddziały zbrojne — „mintuan", przeznaczone w razie potrzeby do pomocy w ściąganiu czynszu dzierżawnego i tłumienia rozruchów na wsi; gdzie zdeklasowani, wyzuci z ziemi chłopi i pozbawieni pracy rzemieślnicy aby żyć, organizują się w tajne bractwa „gór, świątyń, kadzideł i wód"; gdzie wreszcie w większych miastach siły zbrojne obcych państw strzegą odgrodzonych drutem kolczastym, eksterytorialnych „dzielnic cudzoziemskich", a politycznie i wojskowi naczelnicy prowincji, tukünowie, dysponują własnymi wojskami najemnymi i podtrzymują w kraju stan niekończącej się nigdy wojny domowej.

Ale ta działająca na wyobraźnię egzotyka stosunków chińskich nie może w żadnym wypadku przesłonić rozlicznych i istotnych podobieństw z sytuacją społeczno - polityczną naszego kraju. Czytając poszczególne artykuły i referaty Mao Tse-tunga, wśród najbardziej chińskich i najbardziej egzotycznych elementów co i raz postrzegamy coś, co swoim konturem przypomina nam coś bardzo znanego i swojskiego. Oto choćby chińscy obszarnicy — tuhao i lieszenowie z prowincji Hunan, którzy zatrwożeni rozmiarami ruchu chłopskiego, kręcą z dezaprobatą głowami. Ale stop! Przypatrzmy się im bliżej, przysłuchajmy jak narzekają, że „wszystko wywróciło się do góry nogami", jaką nienawistną pogardą darzą tych, co wczoraj byli pomiatanymi przez nich parobkami i nędzarzami, a dziś podnieśli głowę i rządzą. Toż to przecie przebrane w egzotyczne szaty tuhao i lieszenów nasze rodzime koła obszarnicze, które narzekając na reformę rolną roku 1944 przemawiały tymi samymi słowy! A oto znowu strojący się w piórka „postępowe" miejscy „szenszy" z Czangsza, którzy przyznają, że związki chłopskie tworzyć trzeba, ale te, które istnieją teraz, „przebierają miarę" i „popadają w skrajności". Ich bolesne rozkładanie rąk jest również gestem dziwnie nam już znanym. Przecież to mleczni bracia naszych obłudników, którzy też są za ideałem socjalizmu, ale zarazem przeciw temu co może ten ideał wcielić w życie — tych wszystkich, których Emanuel Mounier nazwał miłośnikami „rewolucji archanielskiej". I kiedy czytamy jak Mao Tse-tung przekonywał ich w roku 1927, że *„rewolucja to nie obiad proszony, nie twórczość literacka, nie malowanie czy haftowanie; nie może ona przebiegać tak wytwornie, tak spokojnie i delikatnie, tak grzecznie i uprzejmie"* i że *„wystąpienia chłopskie przybierają najbardziej zdecydowany charakter i rozruchy przybierają największe nasilenie właśnie tam, gdzie tuhao, lieszenowie i bezecni obszarnicy przejawiali największe okrucieństwo"*[2]) — to odnajdujemy w tej polemice uderzającą zbieżność z tylu dyskusjami, które na podobny temat toczyły się u nas.

Pod warstwą egzotyki kryją się istotne sprawy wspólne — jak wspólna jest pod różnymi szerokościami geograficznymi krzywda człowieka, jak wspólna jest sprzeczność interesów między ludźmi w ustroju klasowym, jak wspólne jest dążenie wszystkich gnębionych i uciskanych do zrzucenia kajdanów. Odkrywane pod warstwą egzotyki podobieństwa potwierdzają istnienie wspólnych praw rządzących rozwojem społeczeństw ludzkich w różnych krajach, sprawiają, że walka wyzwoleńcza ludu chińskiego staje się sprawą nam nieobojętną i bliską.

Skoro już mówimy o egzotyce warto podkreślić staranność wydania „Dzieł wybranych", wyrażającą się w szczególności zaopatrzeniem ich w przypisy objaśniające, jak również w tablicę chińskich jednostek pieniężnych i miar. Pomoc to bardzo dla czytelnika polskiego cenna i bez niej często lektura byłaby

WOJCIECH KĘTRZYŃSKI

By całe Niemcy stały się krajem pokoju

WEIMAR jest cichym i uroczym miastem, w którym, tak jak w Krakowie, niesposób postąpić parę kroków, by nie napotkać na zabytkową budowlę, na pomnik sławnego męża, obywatela tego miasta, na muzeum, na dom z pamiątkową tablicą, przypominającą dzieje jakiegoś, zasłużonego dla naszej kultury jego mieszkańca.

Jest coś porywającego w symbolice decyzji, powziętej przez Niemiecki Ruch Pokoju, że tegoroczne niemieckie Dni Pokoju (mowa o obchodach Dni Pokoju w Niem. Republ. Demokr., które odbyły się w grudniu ub. roku — przyp. red.) otworzą swe obrady właśnie w Weimarze, w mieście Goethego, Schillera, Herdera, w ulubionym mieście Liszta, w mieście, które widziało narodziny Republiki Weimarskiej. Fakt, że data tego kongresu zbiegała się niemalże z obchodem stu pięćdziesięciolecia śmierci wielkiego weimarskiego filozofa i humanisty, Jana Godfryda Herdera, jeszcze bardziej podkreślał ścisły związek łączący sprawę trwałych wartości niemieckiej kultury ze sprawą pokoju.

Obradujący w dniach 10—12 grudnia w wielkiej sali Weimarhalle przedstawiciele niemieckiego ruchu pokoju z Niemieckiej Republiki Demokratycznej i z Niemiec zachodnich mieli więc przed swymi oczyma najdobitniej przedłożone dowody, jak przytłaczający jest ogrom zadań ciążących na barkach tych, którzy są odpowiedzialni za to, by sprawa niemiecka była dziś czynnikiem budującym pokój międzynarodowy, by kultura niemiecka mogła wreszcie swobodnie obdarzać świat swymi wielkimi, nieprzemijającymi wartościami, tylokrotnie przygłuszonymi hukiem armat i jękiem mordowanych.

Była jednak i inna symbolika obrad pokojowych w Weimarze. Nieopodal tego pięknego i bogatego w najbardziej wartościowe tradycje kulturalne miasta wznoszą się, otoczone drutami kolczastymi i przewodami wysokiego napięcia, posępne zabudowania koncentracyjnego obozu w Buchenwaldzie. Jedna z najstraszniejszych kaźni hitlerowskiego reżimu, rywalizująca swą ponurą reputacją z Oświęcimiem i Treblinką, przypomina nam długą listę obozów śmierci rozsianych przez faszystowskich zbrodniarzy nie tylko po całych Niemczech, lecz po całej, przez nich okupowanej Europie.

Herder, Goethe i Schiller z jednej strony — Buchenwald, Mathausen, Rawensbrück, Gross-Rosen z drugiej, oto słupy milowe historii wśród których naród niemiecki buduje dziś swą przyszłość, oto również zakres odpowiedzialności, jaką uświadamiał sobie każdy uczestnik Friedenstagu w Weimarze, niezależnie od tego czy pochodził z Niemieckiej Republiki Demokratycznej, czy przybył spod reżimu doktora Adenauera,

Chwila była bowiem bez wątpienia ważna. Tysiąc dwustu uczestników kongresu, w tym jedna czwarta z Niemiec zachodnich — to była masa ludzka wyraźnie ożywiona wolą i nadzieją pokoju. W oczekiwaniu konferencji czterech mocarstw w Berlinie, w ogniu walki o odrzucenie militarystycznych układów przez Francję, w codziennym trudzie budowania fundamentów pod demokratyczny byt narodu niemieckiego, w zaciętej walce przeciw narastającej fali odradzającego się faszyzmu i militaryzmu w Niemczech zachodnich — masa tych szeregowych bojowników o pokój i zjednoczenie Niemiec z każdym dniem umacnia swe doświadczenie i swe pozycje w narodzie niemieckim. Konferencja w Weimarze nie była też bynajmniej jakąś paradą czy świątecznym przeglądem, lecz była roboczym podsumowaniem dotychczasowych wysiłków i wytyczeniem zadań na dzień jutrzejszy. Niemiecki ruch pokoju jest w pełnym toku swej walki o przyszłość Niemiec. Bez obawy o popadanie w przesadę możemy też powiedzieć — o przyszłość Europy, o przyszłość pokoju na świecie. Toteż należy mu się pomoc i poparcie ze strony wszystkich bojowników o pokój.

Gdy wchodziliśmy na salę obrad weimarskiego kongresu, odczuwaliśmy wyraźnie żywe tętno niemieckiego ruchu pokoju. Twarze, w ogromnej większości młode, nierzadkie sylwetki inwalidów wojennych, oblicza starszych ludzi znaczone cierpieniem lecz też i zdecydowaną, świadomą wolą niedopuszczenia do nowych klęsk i nieszczęść dla własnego narodu. Obcokrajowiec witany jest z otwartym sercem. Z żywiołową radością witano też w Weimarhalle każde oświadczenie zagranicznych delegacji. Było ich niemało, gdyż na kongresie reprezentowanych było trzynaście państw europejskich z delegacją Związku Radzieckiego na czele. Nigdy tak mocno, jak właśnie w Weimarze, nie uświadomiłem sobie, jak wielkie znaczenie mają właśnie tego rodzaju publiczne narady w walce, jaką toczy ruch pokoju o opinię publiczną, o postawę przeciętnego obywatela, o jego umysłowość i jego serce.

Gdy zamilkły słowa siwowłosego przewodniczącego niemieckiego ruchu pokoju, profesora Waltera Friedricha, referującego uchwały wiedeńskie — głos zabrał Przewodniczący Niemieckiej Izby Ludowej, Dieckman, by przedstawić wkład Niemieckiej Republiki Demokratycznej w dzieło budowania zjednoczonych i pokojowych Niemiec. Uzasadnione faktami i datami przemówienie przypomniało wszystkie akty władz Niemieckiej Republiki Demokratycznej, począwszy od ustawy o ochronie pokoju z roku 1950, kończąc na ostatnich apelach do parlamentów Wielkiej Brytanii i Francji. Ten wielki, pozytywny dorobek, z jakim Niemiecka Republika Demokratyczna zasiądzie kiedyś, oby jak najszybciej, do stołu obrad nad zjednoczeniem Niemiec, kładzie trwałe podwaliny dla niemieckich sił demokratycznych i pokojowych.

Drugim wyraźnym motywem, przewijającym się przez debaty w Weimarze, to walka o postawę niemieckiej opinii publicznej w obliczu perspektywy rozmów czterech mocarstw. Cała propaganda kapitalistyczna, gorliwie popierana, rzecz oczywista, przez Adenauera, usiłuje zgodnie wpoić w naród niemiecki przeświadczenie, iż zjednoczenie Niemiec zależy tylko od rozmów dyplomatycznych. Wola narodu, sugerują, nie ma tu nic do gadania. Zadaniem Niemców, w koncepcji amerykańskiej, jest wierna służba celom amerykańskiej polityki. W zamian za to politycy amerykańscy wskażą warunki i właściwy czas dla zjednoczenia kraju. Nie potrzeba dodawać, że zjednoczenia tego miałby dokonać przyszły Wehrmacht pod dowództwem znanych już nam generałów.

Wola narodu niemieckiego zadecyduje o zjednoczeniu Niemiec — odpowiada kongres w Weimarze. „Skoro cztery mocarstwa mogą rozmawiać przy jednym stole — nie ma żadnych racji, dla których Niemcy ze wschodu i zachodu nie mogliby uczynić tego samego"—stwierdza jeden z mówców. Jeśli zaś Niemcy między sobą uzgodnią warunki zjednoczenia — to mocarstwa zachodnie nie będą mogły się im przeciwstawić. A Związek Radziecki całą mocą swego autorytetu popiera dążenia do zjednoczenia narodu niemieckiego, gdyż wierzy w twórczą siłę jego demokratycznych i pokojowych tendencji. W swym pięknym przemówieniu tę właśnie wiarę ludów Związku Radzieckiego w siły twórcze narodu niemieckiego przedstawił przewodniczący radzieckiej delegacji, znany literat, Anatoli Sofronow. Burza oklasków, jaką obdarzono jego słowa, była najlepszym dowodem, jak głęboko utkwiły w sercach zebranych.

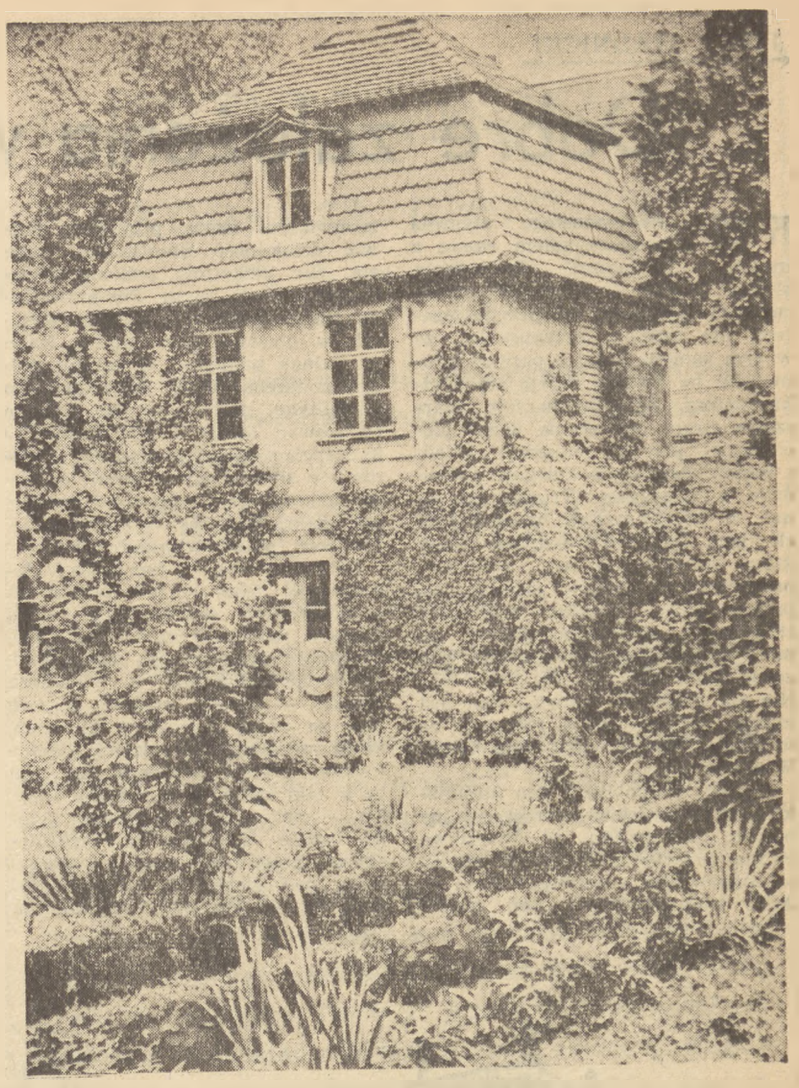

Dom Goethego w Weimarze

Wnętrze domu Goethego w Weimarze

Trudno byłoby tu zebrać wszystkie myśli zawarte w wielu przemówieniach polityków, działaczy, pisarzy, robotników, studentów, profesorów, księży, wszystkich, którzy się przewinęli przez mównicę w ciągu tych pełnych trzech dni obrad. Może najpełniej tę wolę zjednoczenia i zapewnienia pokoju narodowi niemieckiemu wyraził w swym głębokim przemówieniu wielki niemiecki postępowy pisarz, Johannes Becher, który roztoczył wizję Niemiec zjednoczonych — na zawsze kraju pokoju.

W przerwach między obradami, w hotelach, przy stole zawiązują się przyjaźnie, toczą się rozmowy. Gdy rozmawiamy z niemieckim górnikiem, czy studentem z Jeny lub Lipska — czujemy się sobie bardzo bliscy. Nasze troski są bliskie, nasze radości wspólne. Mamy pełne poczucie, że wspólnym wysiłkiem budujemy tę samą sprawę. Z pewnym poczuciem dumy uświadamiamy sobie, że Polska poszła już dalej na drodze budowania nowego życia, że może służyć radą i doświadczeniem niemieckim towarzyszom. Wdzięczni im jesteśmy, że w tak koleżeńskiej atmosferze z pełnym przyjaznym zaufaniem do nas się w wielu sprawach o nasze zdanie zwracają.

Szukamy jednak Niemców z zachodu. Chcemy bowiem pomóc im w walce z jadem nienawiści i fałszu, jaką szerzy w umysłach niemieckich na zachodzie kapitalistyczna propaganda. Okazja nadarza się niespodziewaną. Przychodzi liścik z sali: „Jest nas tu grupa przesiedleńców zza Odry. Chcielibyśmy porozmawiać z delegacją polską". Podpisane — Walter Horny z Frankfurtu nad Menem.

Oczywiście spotkanie szybko dochodzi do skutku i już siedzimy za jednym stołem. Rozmowa toczy się żywo i łatwo nam zorientować się, że wśród naszych rozmówców krzyżują się dość różne poglądy, a nie brak wśród nich i akcentów wpajanego przez adenauerowską propagandę szowinizmu.

Jak słaby jest w gruncie rzeczy ten ładunek przekonujemy się szybko. Członek naszej delegacji, Ryszard Deparasiński, walczył podczas wojny we francuskim ruchu oporu. Obok niego siedzą — po jednej stronie — ciężko ranny i zestrzelony podczas wojny oficer Luftwaffe, z drugiej strony — bezręki były podoficer Wehrmachtu. — Czy chcecie, by się to jeszcze raz powtórzyło? Czy chcecie, by zamiast tu, przy jednym stole rozmawiać — znów się znaleźć z bronią w ręku, oko w oko?

Nie, nikt z nich tego nie chce. Walter Horny, rodem ze Śląska, pokazuje nam całą niedolę ludzi, których reżim Adenauera celowo nie pozwala się zakorzenić, każe żyć w barakach, na tobołkach, którym propaganda co dzień rani serca, podsycając nienawiść i żądzę odwetu.

Padają więc pytania — czy Polska zagospodarowała Ziemie Zachodnie, bo gazety na zachodzie mówią, że tam pustynia... Czy to prawda, że burzycie wszystkie zabytki kultury? Rozmowa wyjaśnia wiele,

(Dokończenie na str. 6)

niezrozumiała. Mao Tse-tung pisze np. w zakończeniu referatu o ruchu chłopskim w prowincji Hunan, polemizując z tymi Kuomintangowskimi „rewolucjonistami", którzy się ruchu chłopskiego boją: *„Czyż codziennie głoszone wezwania, nawołujące do „przebudzenia się mas ludowych" i śmiertelny strach, kiedy te masy rzeczywiście się podnoszą, nie przywodzą na pamięć słynnej historii o miłości Je-kunga do smoków?* Otóż tę „słynną historię", której na pewno nikt z nas nie słyszał, zaczerpnięto z książki Liu Wanga „Sin Sii" (epoka dynastii Han), możemy poznać dzięki przypisom, przytaczającym jej tekst: *„Je-kung lubił smoki: broń, narzędzia, rzeźby w jego domu — wszystko miało kształt smoków. Dowiedział się o tym prawdziwy smok, zszedł z nieba i zajrzał przez okno do Je-kunga, wsunąwszy ogon przez drzwi. Ujrzawszy smoka Je-kung rzucił wszystko i zaczął uciekać nieprzytomny ze strachu, a w oczach mu pociemniało. Okazało się, że Je-kung wcale nie lubił smoków a lubił tylko to, co było podobne do smoków".*

CECHY SPECYFICZNE REWOLUCJI CHIŃSKIEJ

W referacie wygłoszonym w listopadzie 1919 r. do komunistów narodów Wschodu Lenin mówił: *„Macie przed sobą zadanie, które dotąd nie stało nigdzie przed komunistami całego świata: opierając się na ogólnej teorii i praktyce komunizmu, musicie przystosowując się do specyficznych warunków, których nie ma w krajach europejskich, umieć zastosować tę teorię i praktykę do warunków, w których główną masę stanowi chłopstwo, warunków, w których trzeba rozwiązać zadanie walki nie przeciw kapitałowi, lecz przeciw pozostałościom średniowiecza".*

To zadanie twórczego zastosowania marksistowskiej teorii rozwoju społecznego i wypracowanej przez partie rewolucyjne praktyki do warunków, w jakich znajdowały się zacofane kraje azjatyckie, zostało w całej pełni urzeczywistnione przez Mao Tse-tunga.

W pierwszym tomie „Dzieł wybranych", obejmującym prace Mao Tse-tunga, pisane w czasie pierwszej (1921—27) i drugiej rewolucyjnej wojny domowej (1927—37), zarysowują się wyraźnie dwie specyficzne cechy rewolucji chińskiej. Są to: szczególna rola chłopstwa jako podstawowej siły rewolucji w Chinach oraz szczególna strategia wojny rewolucyjnej w oparciu o bazy na wsi.

W Chinach lat dwudziestych proletariat przemysłowy stanowił zaledwie pół procent ludności kraju. Stąd zagadnienie sojuszników rewolucji stało się podstawowym zadaniem do rozwiązania. Dotyczyło to przede wszystkim chłopstwa, które stanowiło 80 proc. ludności kraju.

Na tym odcinku w okresie pierwszej rewolucyjnej wojny domowej popełniono poważne błędy. Pod wpływem zbliżenia w ostatnich latach życia Sun Jat-sena z Kuomintangiem we wspólnej walce z reakcyjnymi generałami z Północy, w ówczesnym kierownictwie partii komunistycznej z Czen Tu-siu na czele dominowały tendencje oparcia się o burżuazję, reprezentowaną przez Kuomintang. W tych warunkach nie mogło być oczywiście mowy o należytym zrozumieniu roli chłopstwa jako podstawowej siły rewolucji ani tym mniej o włączeniu się komunistów w szerzący się żywiołowo ruch chłopski, ponieważ rozwój tego ruchu wysoce niepokoił klasy posiadające w Chinach, reprezentowane w Kuomintangu. Nie dostrzegano, że współpraca między burżuazyjnym Kuomintangiem a komunistami, reprezentującymi klasę robotniczą, wskutek braku zbieżności interesów klasowych może być tylko chwilowa i koniunkturalna ani nie wyciągano wniosków z zachodzących w łonie Kuomintangu procesów wstecznych. W rezultacie, gdy po śmierci Sun Jat-sena nastąpił w roku 1927 pucz Czang Kai-szeka, który, ulegając naciskowi kół obszarniczych i burżuazji kompradorskiej [3]) obrócił oręż przeciw komunistom, gdy sojusz między Kuomintangiem i komunistami został zerwany — partia komunistyczna znalazła się wobec reakcji sama, izolowana od szerokich mas chłopskich, z którymi nie potrafiła nawiązać kontaktu. Ta izolacja stała się jedną z głównych przyczyn klęski w pierwszej rewolucyjnej wojnie domowej w roku 1927.

Prawicowo - oportunistyczne tendencje w łonie kierownictwa partii zwalcza od samego początku Mao Tse-tung, podówczas jeszcze młody działacz partyjny. W „Referacie o wynikach badań ruchu chłopskiego w prowincji Hunan", będącym owocem starannych obserwacji i studiów, sygnalizuje „doniosłość zagadnienia chłopskiego" i nawołuje do zajęcia przez partię właściwej wobec niego postawy. Zdaniem Mao Tse-tunga rewolucja zachowując charakter antyimperialistyczny i antyfeudalny, a więc kierując swe ostrze przeciw obszarnikom i powiązanej z imperialistami burżuazji kompradorskiej, powinna uznawać proletariat przemysłowy za swoją siłę kierowniczą, natomiast za siłę podstawową drobnoburżuazyjne i półproletariackie masy wsi i miast. Średnia burżuazja, „burżuazja narodowa", której interesy są sprzeczne zarówno z proletariatem, jak i kapitałem imperialistycznym, może być w pewnych sytuacjach (co miało miejsce przede wszystkim w okresie wojny antyjapońskiej) sprzymierzeńcem.

Rozwój wypadków, a mianowicie poniesiona przez partię klęska w pierwszej rewolucyjnej wojnie domowej, potwierdziły słuszność analizy Mao Tse-tunga. W sierpniu 1927 roku stare kierownictwo partii zostaje usunięte a tezy głoszone przez Mao Tse-tunga odnośnie sojuszników rewolucji torują sobie drogę jako wytyczne obowiązujące dla całej partii. Następny okres historii rewolucji chińskiej — okres drugiej rewolucyjnej wojny domowej — rozpoczyna się odezwą do chłopów, jaką wystosowała partia, wzywając do powstania „jesiennych zbiorów".

Drugą cechą specyficzną rewolucji chińskiej jest szczególna strategia wojny rewolucyjnej. Warto na wstępie zaznaczyć, że warunki istniejące w Chinach (nie kończąca się wojna domowa, sprzeczności w warstwie rządzącej) sprawiły, że w przeciwieństwie do innych rewolucji w Chinach od początku istniała regularna siła zbrojna rewolucji — Robotniczo - Chłopska Armia Czerwona Chin, która powstała z niektórych oddziałów kuomintangowskiej Wyprawy Północnej oraz chłopskich oddziałów powstańczych. Co więcej — w napisanej w roku 1928 pracy pt. „Dlaczego w Chinach może istnieć czerwona władza" Mao Tse-tung rozważając istniejącą sytuację stawia tezę, że z podobnych przyczyn może istnieć obok armii rewolucyjnej również władza rewolucyjna, ustanowiona w pewnych rejonach kraju niezależnie od tego, że centralnie jest on rządzony przez Kuomintang.

Również i na tym odcinku nie obyło się bez poważnych błędów. W okresie drugiej rewolucyjnej wojny domowej pewna część kierownictwa partii stała na stanowisku, że z teorii marksistowskiej wynika konieczność rozpoczynania rewolucji od powstania w miastach, po opanowaniu których należy z kolei rozszerzać rewolucję na otaczające okręgi wiejskie. Wynikiem tego doktrynerskiego i nie uwzględniającego realnych warunków stanowiska była seria nieudanych powstań w wielkich miastach, w których władza Kuomintangu była najtrwalsza i najbardziej brutalna. Te nieudane powstania w miastach jak również inne błędy strategiczne, popełnione przez „lewicowo-oportunistycznych" doktrynerów w czasie drugiej rewolucyjnej wojny domowej przysporzyły partii dotkliwych strat, dochodzące do 90 proc. jej stanu osobowego i zmusiły główne siły armii rewolucyjnej, działające w prowincjach Kiangsi, Hunan i Fukień, do słynnego „Długiego Marszu" przez 11 prowincji, na trasie długości 12.000 kilometrów, celem osiągnięcia nowej bazy strategicznej na północy, na styku prowincji Szensi, Kansu i Ningsia.

I w tym punkcie również Mao Tse-tung zajmował inne stanowisko niż „lewicowo-oportunistyczni" doktrynerzy. Sformułował on teorię tworzenia w oparciu o armię rewolucyjną baz na wsi, przeprowadzania w tych bazach rewolucji agrarnej i budowy nowej władzy państwowej, a następnie okrążania uzbrojonymi, rewolucyjnymi okręgami wiejskimi miast, okupowanych przez władzę reakcyjną. Ta teoria w dziedzinie strategii wojny rewolucyjnej odpowiada sformułowanej dawniej przez Mao Tse-tunga teorii sojuszników rewolucji, uznającej chłopstwo za jej siłę główną. Na rozszerzonej konferencji Biura Politycznego, zwołanej w czasie „Długiego Marszu" w Tsunji, w prowincji Kueiczou, w styczniu 1935 r. błędna doktrynerska linia wojskowo - polityczna została potępiona, a Mao Tse-tungowi powierzona została kierownicza rola w partii. Dalszy przebieg drugiej rewolucyjnej wojny domowej, prowadzonej z baz w prowincjach północnych, jak również późniejsze zwycięstwa osiągnięte w walce z najazdem japońskim i Kuomintangiem, potwierdziły słuszność strategii Mao Tse-tunga.

Miarą słuszności wypracowywanej przez Mao Tse-tunga w ciągu wielu lat teorii jest zwycięska droga rewolucji chińskiej. Droga, która rozpoczęła się w roku 1921 utworzeniem partii komunistycznej, liczącej podówczas 44 członków, a która w niespełna trzydzieści lat później doprowadziła do pełnego zwycięstwa rewolucji w kraju o 450 milionach mieszkańców. Ten imponujący pochód rewolucji musi dać wiele do myślenia nawet jej zagorzałym przeciwnikom.

Kiedy pochylamy się nad „Dziełami wybranymi" Mao Tse-tunga, musimy sobie zdać sprawę, że są one już literaturą klasyczną. Ta teoria, która wyrosła z praktyki i która w tąkim zakresie została zwycięską praktyką potwierdzona, jest obecnie pilnie studiowana przez walczące o niepodległość i wyzwolenie społeczne narody na całym świecie, w szczególności zaś narody Azji, które z dzieł Mao Tse-tunga uczą się skutecznie walczyć z wrogiem, jaki w Chinach został już pokonany.

[1]) „Walka w Tsingkangszanie", listopad 1928 r., str. 118

[2]) „Referat o wynikach badań ruchu chłopskiego w prowincji Hunan" — marzec 1927, str. 34.

[3]) Kompradorzy (z hiszp.) — warstwa wielkiej burżuazji w Chinach, powiązanej ekonomicznie z kapitałem zagranicznym i w praktyce broniącej interesów imperialistów.

JERZY STADNICKI

rys. ANDRZEJ POL

Dobre założenia w dobrych epokach

KIEDY siedemnastego stycznia 1945 r. rozpoczynałem razem z innymi więźniami Oświęcimia słynny „marsz śmierci" do ówczesnego Gross-Rosen, nie przypuszczałem, nie mogłem przypuszczać, że w tym samym dniu, o paręset kilometrów na wschód dzieją się wielkie rzeczy. Że w dniu tym Warszawa strąca ostatecznie więzy pięcioletniej przeszło okupacji. Wielu z moich obozowych kolegów pochodziło z Warszawy. Trudno odgadnąć, o czym myśleli w ostatnich chwilach życia, wiem tylko, że w kilka miesięcy potem, kiedyśmy przebywali w Bawarii, jeden z nas, przedwojenny redaktor wielkiego, stołecznego dziennika, mówił do mnie z głębokim żalem: — Do czego ja mam wracać? Nie ma Alej... Nie ma mojej Warszawy... Pan jest młody, pan nie może rozumieć co to znaczy, że już nigdy nie będzie Warszawy...

A kiedy próbowałem mu nieśmiało tłumaczyć (choć sam w to nie bardzo wierzyłem), że Warszawę można przecież odbudować, kolega ów odpowiadał zniecierpliwiony: — Ach, jakie głupstwa pan mówi!

Warszawy już nigdy nie będzie. Warszawy odbudować nie można, bo żaden inwestor nie pójdzie na imprezę, która by mu się zamortyzowała po pięćdziesięciu latach!

Dziesięć lat upłynęło od czasu tych rozmów. Warszawa, piękniejsza od przedwojennej stoi lub jest bliska odbudowania. Trzeba umieć się dziwić: Jakże to było możliwe? *Dlaczego* Warszawa stoi?

Odpowiedź na to pytanie nie może nie zatrącać o filozofię historii. Warunkiem powstawania wielkiej architektury jest planowanie odgórne. W dawnych czasach planującym był — władca, czy jego nadworny architekt. W nowych czasach będzie nim świadome swoich zadań i praw społeczeństwo. Ale musi być myśl kierownicza.

Można by udowodnić, że Wenecję stworzyli dożowie, Rzym — papieże, Paryż — *ancien régime* i Bonapartowie. Przejdźmy jednak lepiej do bardziej nam bliskich przykładów.

W dziejach urbanistyki naszej stolicy uderza okresowość, uwarunkowana nieodmiennie — polityką. A kamienie milowe tej okresowości, to: panowanie saskie, panowanie Stanisława Augusta i Królestwo Kongresowe.

Co się działo z Warszawą do Augusta II?

Albo postawmy pytanie umiejętniej: dlaczego Warszawa zaczęła nabierać cech stołecznych dopiero za Sasa, kiedy była stolicą już od r. 1596?

Dlatego, iż do końca XVIII wieku proces urbanizacyjny Warszawy hamowały „jurydyki". Na czymże polegały? — W wielkim skrócie — na tym, że magnaci, którzy z racji piastowania najwyższych urzędów w Rzeczypospolitej poczęli tłumnie osiedlać się w Warszawie, a nie chcąc podporządkowywać się orzecznictwu władz miejskich — wymuszali na królu nadawanie im terytoriów wydzielonych, w których panowała nie miejska już, lecz ich własna jurysdykcja. Rezultaty owych specyficznych dla Warszawy urządzeń prawnych odczuwamy po dziś dzień: wybitny przerost kierunkowości ulicznej wschodnio - zachodniej na niekorzyść północno-południowej (proszę obejrzeć plan miasta) — oto pozostałość „jurydyk", kształtujących się właśnie w ten sposób. Pierwszy zaś wielki architekt epoki przedstanisławowskiej, Tylman Gamerski (autor m. in. kościoła Sakramentek, pałaców Gnińskich, Krasińskich, Pod Czterema Wiatrami, nieborowskiego) — to rzadki w tej epoce przykład architekta nie-urbanisty. Nie miał warunków.

August Mocny jest pomysłodawcą Osi Saskiej, pierwszego poważnego, na drezdeńskich wzorach opartego założenia urban stycznego Stolicy, które zresztą, jak wiadomo, nigdy nie zostało w pełni zrealizowane. Pozostałością jego jest Ogród Saski i Plac Zwycięstwa.

Obawiam się, że cała moja (nie moja zresztą) teoria o współzależności dobrej urbanistyki i zdecydowanych rządów ulegnie poważnemu zachwianiu, skoro przyjdzie omówić działalność Stanisława Augusta. Nie ulegnijmy pokusie naciągania faktów. Rządy Poniatowskiego stanowią istotnie pewien wyjątek w obowiązującej regule. Należy jednak pamiętać, że ostatni polski monarcha, słaby, jak długo szło o politykę, potrafił bardzo uparcie realizować swoje architektoniczne koncepcje i to w warunkach wybitnie nie sprzyjających. Jeżeli do tego dodamy absolutystyczne tendencje epoki, wówczas wyjątek nabierze cech mniej wyjątkowych.

Filozof i smakosz, farmazon i elegant król Staś — nie należał do pracodawców przyjemnych. Jeśli wierzyć pamiętnikarzom, to jego doradcy artystyczni: Bacciarelli, Kamsetzer, Fontana a zwłaszcza Merlini — musieli staczać ciężkie boje ze swym dostojnym klientem, który w miejscu najmniej oczekiwanym polecał wykonać im taki to a taki detal, a nie żaden inny. No — cóż? — Niechże błogosławiony będzie dyletantyzm Poniatowskiego, jeżeli dał nam w wyniku Pałac pod Blachą, Królikarnię, Zamek, a nade wszystko Łazienki, których chyba dlatego tylko nie zalicza się do siedmiu cudów świata, że powstały o paręset wieków za późno...

Stanisław August również zaplanował swą „oś", która od Pałacu Ujazdowskiego ciągnąć się miała poprzez dzisiejszą Nowowiejską do Woli. Jak saska — nie została nigdy zrealizowana. Za to epoka ta obdarzyła nas profuzją pięknych budowli, które zjednały Warszawie przydomek miasta pałaców: Brühlowski, Potockich, Karasia, Blanka, Czapskich — to tylko niektóre.

Ważniejszą zasługą tej epoki jest, iż stworzyła własny styl, styl stanisławowski, który wraz z gotykiem nadwiślańskim, renesansem mazowieckim i innymi krajowymi wariantami renesansu — stanowią konkretny wkład architektury narodowej w ogólno-europejską.

Trzeci wybitny okres urbanistyki stołecznej — to okres Królestwa Kongresowego. Jak za Napoleona III-go Haussmann „robił" haussmanowski Paryż, tak za Druckiego-Lubeckiego Corazzi „robił" swoją Warszawę. To była dobra Warszawa, może najlepsza, empirowa, surowa ale zwarta, mocna, zdecydowana w swoim wyrazie plastycznym. Budowli Corazziego nie pomylisz z żadną inną: Teatr Wielki, Pałace Staszica i Mostowskich, Bank Polski, gmachy skarbowe — znać, że wyszły spod jednej ręki, że zrodziły się w głowie, która wiedziała czego chce i co planuje. Wszystko to gmachy monumentalne, owoc zamówienia epoki, epoki centralizacji i rodzącego się biurokratyzmu.

Corazziego otacza plejada doskonałych architektów: Kubicki, autor Belwederu, Aigner, twórca kościoła św. Aleksandra, odnowiciel św. Anny i Pałacu Namiestnikowskiego i nieco późniejszy od tamtych Marconi (Henryk), nawiązujący do Odrodzenia włoskiego, genialny omnibus, który umiał zbudować i piękną fasadę Hotelu Europejskiego, i kościoły W. Świętych i Karola Boromeusza, i dworzec warszawsko-wiedeński, i pierwsze wodociągi, i Pawiak.

Ale zaraz potem zaczyna dziać się z urbanistyką Warszawy niedobrze. Miasto, podówczas 150-tysięczne, straciwszy po Powstaniu Listopadowym własny rząd, zdegradowane ze swej roli stolicy, zaczyna się zabudowywać potężnie — dzięki koniunkturze gospodarczej i unii celnej z Rosją — ale bezplanowo, chaotycznie, jak popadnie. Są przecież pieniądze, są dobrzy architekci, Szyller, Przybylski i Heurich syn, są dobre, haussmanowskie wzory, ale nie ma siły zdolnej powstrzymać krnąbrność liberalizmu gospodarczego, zdolnej pokierować partyzanctwem architektonicznym twórców. W okresie od 1830-1918 r. nie urzeczywistniono w Warszawie ani jednej wielkiej koncepcji urbanistycznej. Rezultaty? — Niekomunikacyjność miasta, brak przelotowych magistrali, krzywe ulice, nierównomierne zazielenienie, powstanie z „miasta pałaców" — „miasta sprzeczności", Warszawy, jedynej w Europie Środkowej stolicy mającej w r. 1882 — 40 tysięcy, tj. przeszło połowę mieszkań jednoizbowych, mającej zaledwie 830 domów skanalizowanych...*)

Przychodzi dwudziestolecie. Zbudowało Mokotów, Żoliborz z Marymontem i Grochów. Zbudowało też wiele gmachów, mogących stanowić ozdobę każdej metropolii. Czyż trzeba wspominać Ministerstwo Oświaty Mączeńskiego, Ministerstwo Komunikacji Świerczyńskiego, budynek ZUS-u Gutta, wille Pniewskiego, rekonstrukcje Szyszko-Bohusza? — Nie trzeba. Ale czym wytłumaczyć fakty, że w tym samym okresie nie powstał w Stolicy ani jeden dobry plac? Że projekt Jawornickiego przebudowania Marszałkowskiej, projekt zbliżony do dzisiejszego MDM-u, nie doczekał się realizacji? Że podobnie nie zrealizowano wielu innych, bardzo dobrych pomysłów (Powiśle, Saska Kępa), a na przebicie nieruchomości przy Pl. Krasińskich, celem wytyczenia ul. Bonifraterskiej trzeba było niemalże... „kantu" władz miejskich?

Pytanie jest retoryczne i wszyscy znamy odpowiedź: podobnie, jak za czasów „jurydyk" — nie było siły zdolnej przeciwstawić się rozhasanemu kamienicznikowi. To było jakieś liberum veto własności prywatnej. Głęboką troska ojców miasta o nienaruszalność renty czynszowej łagodziła ich ostrość widzenia takich faktów na przykład, jak ten, że Anno Domini 1937 — 40 zaledwie procent domów warszawskich zaopatrzonych było w kanalizację, wodociągi i gaz, że 37 proc. Warszawiaków po dawnemu zamieszkiwało jednoizbówki...

*

JAKKOLWIEK podwójny problem zniszczenia i odbudowy Stolicy jest bardzo dla niniejszych rozważań istotny, to jednak, ze względu na powszechną znajomość tych faktów — można je bez szkody pominąć. Za wyjątkiem jednego: mam na myśli chwilę, kiedy na pytanie, czy wobec zdewastowania Stolicy, wyrażającego się cyfrą siedemdziesięciu procent (jeśli liczyć sam tylko ubytek kubatury) — odbudowa miasta posiada w ogóle swój sens, na pytanie to cały Naród odpowiedział TAK.

Miłość — nie bójmy się tego wielkiego słowa — miłość do perfidnie, bestialsko, z premedytacją zniszczonej Warszawy, wypowiedziała się i w dalszym ciągu wypowiada spontanicznym a masowym opodatkowaniem się społeczeństwa na Fundusz Odbudowy Stolicy. Przeglądając niedawno roczniki dwutygodnika „Stolica" notowałem — nie bez wzruszenia — dane o ofiarach Polaków ze wszystkich zakątków kraju, datki urzędów i osób prywatnych, datki duchowieństwa, wojska, dzieci — wszystko na ten jeden, wielki, wymarzony cel...

Wiadomo było jednak, że Warszawa, miasto nie istniejących wówczas pałaców i zabytków, była zarazem najgorzej rozplanowanym i obsłużonym z większych miast Europy. Powstawało więc zagadnienie: odbudować — ale jak? Identycznie, podobnie, czy też całkiem odmiennie od Warszawy z r. 1939? — Zdawałoby się, że zdarzała się jedyna na tysiąclecie okazja odbudowania pięknej, ale zupełnie nowoczesnej city, o prostych, szerokich arteriach, corbussierowskich fasadach, słowem, takiej Warszawy „zachodniej".

Postąpiono inaczej. Po pierwsze — przez wzgląd na pietyzm dla starej i pięknej architektury. Także ze względów praktycznych: koszt odbudowy wypalonego domu jest niższy od kosztu wzniesienia nowego. Wytyczenie nowej ulicy oprócz kosztów uzbrojenia wymaga również kosztów zaplanowania. I wreszcie ze względu na czynnik, który można nazwać — socjalistycznym stylem życia. Chodzi o to, że kompozycja miasta winna odpowiadać mentalności i kulturze ludzi, którzy je zamieszkują. Corbussieryzm jest może bardzo piękny w Marsylii, ale u nas byłby chyba... co najmniej zaskakujący.

W rezultacie — postanowiono trzymać się w zasadzie dawnego planu miasta z jednoczesnym zmodernizowaniem jego koncepcji. W najgrubszych zarysach rzecz biorąc — budującą się Warszawę można podzielić na trzy sektory:

Pierwszy z nich obejmie pas, ciągnący się na zachód od szkarpy wiślanej. Będzie on mieścił siedziby władz państwowych i miejskich, siedziby przedstawicielstw państw obcych, siedziby zrzeszeń i klubów, gmachy użyteczności publicznej, jak teatry, muzea i lokale handlowe, dzielnicę uniwersytecką i dwa duże skupiska dzielnic mieszkaniowych: Muranów, Żoliborz, Marymont i Bielany na północy, MDM, Mokotów, Służewiec i Wierzbno na południu.

Drugi sektor — przemysłu lekkiego, oddzielony będzie od pierwszego pasem zieleni utworzonym przez ciąg parków od Lasku Bielańskiego, poprzez Park Żeromskiego, Ogród Saski, otoczenie Pałacu Kultury, okolice Frascatti do kompleksu ogrodów Ujazdowa. Drugi sektor mieścić będzie okręg dworca głównego i przemysłu lekkiego, precyzyjnego i spożywczego oraz trzy dzielnice mieszkaniowe: Koło, Wolę, Ochotę.

Trzeci wreszcie sektor stanowić będą dzielnice prawobrzeżne. Znajdzie się tam, w bliskim sąsiedztwie ujścia Bugu, przemysł ciężki na Żeraniu i na Pradze, dzielnicach położonych na wschód od miasta, co jest ważne ze względu na dym fabryczny, przy zachodnim, przeważającym w naszym klimacie, kierunku wiatrów. Obok przemysłu ciężkiego ulokowany tam zostanie przemysł tzw. uciążliwy (rzeźnie, garbarnie, zakłady chemiczne).

Dolina Wisły będzie miała przeznaczenie sportowo - rozrywkowe.

W tych ramach jest i pozostanie Warszawa miastem pamiątek i stolicą narodowej kultury i jednocześnie Stolicą przez wielkie „S", tj. ośrodkiem, który powinien w pewnym sensie reprezentować i streszczać aspiracje epoki. Dlatego współczesne budownictwo warszawskie posiada ambicję, z której nie zamierza rezygnować, ambicję przodowania w dziedzinie architektury realizmu socjalistycznego, architektury spełniającej podwójny warunek: nowoczesności i specyficzności narodowej.

O liczbie odbudowanych zabytków nie potrzeba już pisać. Pisać za to należy o pietyzmie rekonstrukcyjnym. Warto, zwiedzając świątynie, zwrócić uwagę na te okruchy kamienia, oderwane gzymsy, fragmenty rąk i nóg, poustawiane pieczołowicie na ziemi, czekające cierpliwie „w kolejce" chwili powrotu na należne im miejsce w ołtarzu. Warto zestawić Nowy Świat dzisiejszy z tym przedwojennym, zeszpeconym dwoma czy trzema „Messalkami", „Savoyami", czy budą z „Wolanowem". Jak to dobrze, że już dzisiaj takich horrendalnych zestawień czynić nie wolno. Jak dobrze, że położono kres „radosnej twórczości" w architekturze. Ze zgrozą myślę, co by się działo, gdyby odbudowie Stolicy patronował ustrój przedwrześniowy. Czy byłoby do pomyślenia wskrzeszenie Mariensztatu, Krakowskiego i Starówki w ich pierwotnej postaci? I któż w ustroju kapitalistycznym mógł marzyć o rekonstrukcji barbakanu Baptisty i staromiejskich murów obronnych?

Zaprawdę, nie „liberalizm" ani „wolna konkurencja" tworzą dobrą architekturę...

*) Dane zaczerpnięte z książki Wandy Litterer: „Nowe osiedla mieszkaniowe i ich mieszkańcy".

ŚWIATŁA WARSZAWSKIEGO BRZEGU

(Dokończenie ze str. 1)

Wszystkie te zdania i opinie wygłoszone przez wrogie radiostacje i publikowane we wrogich nam pismach są pozbawione najistotniejszej podstawy — zrozumienia treści i stylu naszego życia.

Nasze dyskusje omawiające sprawę podniesienia wydajności rolnictwa urastają w uszach emigracyjnego słuchacza do rzędu klęski głodowej, nasze zadania i wysiłki, podjęte w celu szybszego wzrostu stopy życiowej mas pracujących w mieście i na wsi — są komentowane w kołach emigracyjnych we właściwy im sposób, jako.... „załamanie Sześcioletniego Planu".

Cóż, tak jak ślepego nie nauczy się rozpoznawać barw, tak też i emigracja pozostanie tępa w rozumieniu takich pojęć, jak plan, stopa życiowa, troska o człowieka. Dla nich przecież bardziej zrozumiałe są inne kryteria: zysk, dywidenda, akcje. Ich więcej interesują kursy akcji towarzystw amerykańskich, które wzrosły w ciągu trzech lat (1949 — 1952) z powodu wojny na Korei dwu i trzykrotnie, więcej interesują zyski tych i innych przedsiębiorstw kapitalistycznych, niż takie fakty, jak przedterminowe wykonanie planu wydobycia węgla w Polsce, czy też wyprodukowanie w ubiegłym roku przeszło trzy razy tyle stali, co przed wojną. Naturalnie, że nie napawa ich zadowoleniem wzrost potencjału gospodarczego, obycie się bez nich, bez tzw. „speców gospodarczych" od wszelkich „inicjatyw" handlowych, zwanych inaczej kantami i szalbierstwem, za które pobierali skromne uposażenie kilkudziesięciu tysięcy złotych miesięcznie! (Grodzicki — generalny dyrektor Syndykatu Polskich Hut Żelaznych — 60.000 zł mies., Lewalski — generalny dyrektor Huty Pokój — 116.000 zł mies., — przyp. mój).

Pascal w swych „Myślach" napisał: „Straszliwa to rzecz czuć, jak odpływa wszystko co się posiada". Zaiste, że straszliwszą jeszcze rzeczą dla niektórych emigrantów jest słyszeć, jak tworzy się i rośnie większe i potężniejsze to, czego się już nie posiada i posiadać nie będzie, gdy czuje się osamotnienie i topnienie „zaoszczędzonych" w dwudziestoleciu dolarów, gdy straciło się posłuch i traci wiarę nawet we własne słowa, a jedynym argumentem jednostronnej zresztą polemiki stają się „jakieś" wydarzenia gospodarcze w Polsce.

Wreszcie, gdy zawiodły te argumenty, chwytają się innych, wydawałoby się na pozór łatwiejszych.

Więc stały slogan propagandy zagranicznej o tym, że „materializm walczy z religią"; stąd łatwo urobiona przez nich przesłanka o walce z Kościołem katolickim w Polsce Ludowej, o prześladowaniu wiary, zamykaniu kościołów. Tymczasem na zachód Europy, a więc również i do kół emigracyjnych docierają wieści o rozwoju ruchu społecznie postępowych katolików polskich, o wielkich przeobrażeniach, jakie zachodzą w mentalności i w ustosunkowaniu się ludzi wierzących do rzeczywistości polskiej, do sprawy współtworzenia tej rzeczywistości przez cały naród, bez względu na roznice światopoglądowe. Świadczą o tym zebrania duchownych i świeckich katolików, na których omawiana była postawa katolików polskich wobec wielkich przemian społeczno - politycznych, zaszłych w naszym kraju. Katolicy polscy rozumieją swój obowiązek świadczenia prawdzie wiary katolickiej w życiu, w działaniu społecznym, w prawie współtworzenia lepszych warunków życia. Katolicy polscy w dyskusjach i rezolucjach podjętych na zebraniach Komisji Duchownych i Świeckich Działaczy Katolickich przy Froncie Narodowym zamanifestowali swój współudział w budowie Ojczyzny, w której nie będzie więcej ciemnoty kulturalnej, analfabetyzmu, zacofania gospodarczego, wyzysku panów Lewalskich i Grodzickich.

„Miłość Ojczyzny wyrażona w pracy i myśli stworzyła Front Narodowy w Polsce" — czytamy w referacie pt. „Aktualne zadania katolików polskich na tle Deklaracji Episkopatu z dn. 28 września 1953 r." — „Stało się naszą słuszną ambicją iść razem z wolnymi narodami na czele twórczych prądów historii, wiązać imię Polski ze społecznym postępem świata. Stało się naszą ambicją budować taką potęgę gospodarczą państwa, uzbroić każdego obywatela w taki poziom wykształcenia, który nie tylko zapewnia stały wzrost dobrobytu i kultury w naszym kraju, ale czyni z nas pełnowartościowego sojusznika sprawy pokoju, wyzwolenia społecznego i narodowego".

IV

ZA dwa miesiące w Warszawie odbędzie się II Zjazd Partii, na którym omawiane będą wytyczne IX Plenum Komitetu Centralnego Partii. Wytyczne te, jak stwierdził w swym referacie Bolesław Bierut

„zmierzają do takiego ustawienia naszych zadań i wysiłków w gospodarce narodowej, aby jej dalszy rozwój zapewniał szybszy wzrost stopy życiowej mas pracujących w mieście i na wsi. Jest to najpilniejsze i naczelne zadanie naszej pracy we wszystkich dziedzinach w obecnym okresie budownictwa socjalistycznego".

Zjazd, na którym zostaną powzięte ważne uchwały, wytyczające kierunek działalności gospodarczej na najbliższe lata, poprzedza ogólnonarodowa dyskusja, w której nie braknie też głosów katolików polskich. W artykułach, drukowanych w pismach katolickich, na zebraniach Komisji Duchownych i Świeckich Działaczy Katolickich, na odczytach, w spotkaniach poselskich, katolicy polscy dają swój wkład, podkreślając swe najżywsze zainteresowanie dla perspektyw dalszego rozwoju kraju, w utrwaleniu socjalistycznego ustroju społeczno - gospodarczego.

Pięknie ujęła zadania katolickich działaczy we Froncie Narodowym, ich rolę w współtworzeniu nowych, lepszych warunków życia, prof. Stefania Skwarczyńska, pisząc:

„Katolicyzm świadomy i konsekwentny rzuca człowieka wierzącego na tory walki o słuszne prawa człowieka. Równa się to walce o postęp, o lepszą przyszłość, o sprawiedliwy kształt stosunków społeczno - politycznych. Równa się to zerwaniu ze ślepym kultem przeszłości, wiąże się z obowiązkiem krytycznego stosunku do istniejącej rzeczywistości, z czujnością wobec wszystkiego, co mogłoby jej wartościowym tendencjom zagrozić. Równa się to śmiałości w postulowaniu rewolucyjnych przemian, jeśli są one warunkiem zrealizowania istotnych wartości".

V

ZAPADA noc. Na warszawskim brzegu gasną pomału światła. Słychać jeszcze czasem zgrzyt zjeżdżających do zajezdni tramwajów. Miasto zasypia, lecz już za parę godzin znów rozbłysną na nowo światła, znów cała panorama warszawskiego brzegu stanie w łunie budzącego się świtu i pracy. I znów powstały dzień zastanie ją piękniejszą niż wczoraj.

Zbigniew Czajkowski

JANUSZ KASPERSKI

TEATR LETNI

Stamtąd offenbachowskim winem podchmieleni
Arietkę nucąc nasi wracali ojcowie,
Były konne tramwaje i lampy naftowe,
Stójkowy stał na rogu, matki miały treny...

Po operetce farsa bawiła z tej sceny:
Gasiński z różą w klapie, w cylindrze na głowie,
Łaska, Trapszo, Jarszewski — jedno mgnienie powiek
I odeszli... Kurtyny słychać szmer niezmienny.

I ja tam Melpomeny stawałem się pastwą,
Było Dwudziestolecie jak Drugie Cesarstwo,
Prezydent na bankietach wznosił kielich wina..

A tam bili oklaski w miłej, starej budzie,
Wciąż pośród ścian tych samych coraz nowi ludzie,
Aż dym zakrył to wszystko... Zapadła kurtyna.

*

Samolot jest srebrną gwiazdą.
Nie płacz, urodzony pod gwiazdami!
Noc zasklepia łagodny łuk
i rośnie dom,
po którym będziesz chodzić różowy i ufny.
Nam
— nad którymi pękało niebo gwiazd niespokojnych —
przywróć dzieciństwo
pełne bezpiecznego mroku.

ZDZISŁAW ŁĄCZKOWSKI

ULICA PIWNA

Gwarno i barwnie
wokół słonecznych kamieniczek,
Jak złocone bąki
kołyszą się w powietrzu
latarnie.
Wśród staromiejskich uliczek
szedł dachami
księżyc maleńki
i wiotki
jak smyczek.

*

W bramie
renesansowej gospody
Lelewel z grupą „Cyganów"
przystanął.
Oczy pełne blasku —
powstanie...

*

Jak cynowe dzbany
miękko opadły łódki
na seledyn
Wisły.
U kamiennych portali
gasły
błękitne sygnaturki
zmierzchu.

PIOTR SKALNY rys. ANDRZEJ POL

Niebieski ptak

WIECZÓR był piękny, pomimo grudnia ciepły, po niebie pędziły zupełnie wiosenne obłoki, przez brzeżki których prześwietlało zachodzące słońce, zmieniając ich barwę tak szybko, że jedynie bardzo wprawne oko pejzażysty uchwyciłoby subtelności odcieni. Zapatrzony w tę orgię kolorów nie zauważyłem nawet, jak znalazłem się na uliczce, którą lubię najwięcej. Gdyby mnie ktoś zapytał, dlaczego ją tak lubię, nie umiałbym odpowiedzieć. Ale ci, którzy w swoim mieście mają taką s w o j ą uliczkę, zrozumieją mnie.

Uliczka moja jest krótka, domy przy niej stoją niewysokie, jak gdyby pochylone wiekiem. Wyglądają jak dobrzy sąsiedzi, gawędzący przed progiem, którzy, aby lepiej się słyszeć, nachylają się ku sobie, a najlepiej się czują, kiedy milczą. Słońce zagląda do niej dwukrotnie w ciągu dnia. Z jednego końca, od strony niewielkiego placyku, wlewa w nią swe promienie o wschodzie, odbijając się w zawsze czystych szybach i puszczając niezliczone zajączki na wykusze, ciemne wnęki, a czasami nawet do mrocznych bram, witając i budząc jej mieszkańców, aby po przebiegnięciu firmamentu zajrzeć do niej raz jeszcze z drugiej strony, jakby na dobranoc. W międzyczasie ślizga się tylko po spadzistych dachach, grzejąc senne i rozleniwione koty. Na ulicy panuje wtedy ożywczy cień i cisza.

Tego wieczoru słońce jak gdyby dłużej się tu zatrzymało. Odniosłem jednak jakieś dziwne, podświadome wrażenie, że nie jest mi dzisiaj na mojej uliczce tak dobrze, jak zawsze. Jak gdyby czegoś tu brakowało, a może czegoś było za dużo.

Rozejrzałem się. Tak, o parę kroków przede mną stał człowiek. Jeszcze oślepiony światłem, dojrzałem jedynie jego sylwetę, ale wystarczyło to, by wzbudzić we mnie uczucie niechęci do tego człowieka. Są takie gwałtowne, nieuzasadnione uczucia sympatii, są też — niechęci, a czasem nienawiści. Może była to zazdrość, że ktoś odkrył moją uliczkę, może instynkt psa, o którym mówią, że poznaje złego człowieka na odległość?

Był to mężczyzna, w którym wszystko było średnie. Wzrost, tusza, nijaki kolor włosów. Należał do typu ludzi, o których, gdy ktoś się zapyta jak wyglądają, zaczniesz bez wahania: no taki... i nie znajdując słów, milkniesz zażenowany. Stał z głową zadartą do góry, wpatrzony uważnie w niebo, jakby badał kierunek wiatrów. Nie widział mnie.

Zapragnąłem nagle dowiedzieć się kim jest ten człowiek, dlaczego tak pilnie bada lot chmur, czego on szuka na mojej uliczce. Malarz? Nie, przecież o tej porze siedziałby w kawiarni. Może więc były lotnik, który szuka tam w górze strzępów myśli zgubionych w czasie lotów, może jakiś uczony? Nie znajdując sprytniejszego wybiegu, podszedłem blisko do niego i nieco onieśmielony spytałem:

— Przepraszam, nie wie pan która godzina?

Spuścił szybko głowę i spojrzał na mnie. Pierwsze, co uderzyło mnie w jego twarzy, była nieufność. Patrząc ciągle na mnie, rozpiął powoli kurtkę, potem marynarkę, wyciągnął z kieszeni kamizelki gruby niklowy zegarek, podniósł go do oczu i chwilę się weń wpatrywał, potem spojrzał na mnie, znowu na zegarek i dopiero wtedy odpowiedział.

Podziękowałem mu uprzejmie, bojąc się jednak, że nieznajomy odejdzie, nabrałem odwagi i ni stąd ni zowąd przedstawiłem mu się. Spojrzał na mnie z niemaskowanym zdziwieniem, nieufność w jego twarzy zaostrzyła się, ale po chwili milczenia bąknął pod nosem:

— ...jeski jestem!

Zdawało mi się, że powiedział: Niebieski, ale chyba się przesłyszałem. Nastąpiła chwila kłopotliwego milczenia, w czasie której studiowaliśmy się nawzajem: ja — badawczo, on — nieufnie.

Uliczka zaczęła się zaludniać, mieszkańcy jej wracali z pracy. Dwie dziewczyny w kolorowych chustkach złotowych coś sobie opowiadały i śmiały się głośno. Szły środkiem ulicy, gdyż pojazdy zaglądały tu rzadko. Za nimi, zamyślony, kroczył wysoki, chudy urzędnik z teczką pod pachą. Jakiś nieduży, łysawy już mężczyzna prowadził za rękę paruletniego chłopczyka, prawdopodobnie z przedszkola, coś mu tłumacząc i perswadując. Malec jednakże nie dawał za wygraną.

— Ale kupisz mi pod choinkę miśka? Co, tata?

Nie dosłyszałem odpowiedzi, ale byłem pewny, że kupi, bo któż by takiemu brzdącowi odmówił jego najnowszej miłości — niedźwiadka. Zauważyłem natomiast, że słowa dziecka w widoczny sposób poruszyły mego poznanego przed chwilą nieznajomego. Rozejrzał się dokoła i gdy ucichły kroki przechodniów, powiedział:

— Słyszał pan, co ten mały mówił?

— Co? — nie bardzo rozumiałem o co mu chodzi.

— No, o tym miśku...

— Aaa... tak! — potwierdziłem i dodałem z przekonaniem: — Na pewno go dostanie!

Spojrzał na mnie tak, jak nauczyciel patrzy na niepojętnego ucznia i pogardliwie wycedził:

— Eee, nie o to chodzi. — I pochyliwszy się ku mnie tak blisko, że aż się cofnąłem o krok, najniespodziewaniej powiedział: — Panie, ja jestem specjalistą od miśków!...

Zacząłem śmiać się, z początku cicho, potem coraz głośniej, aż wreszcie ryknąłem pełnym głosem. A więc to nie lotnik, malarz, ani nie uczony, tylko specjalista od niedźwiadków! Nie mogąc się uspokoić, między jednym wybuchem śmiechu a drugim, spytałem:

— Czy od pluszowych?

Odpowiedź padła szybko i była jeszcze bardziej niespodziewana:

— Nie. Od welwetowych.

Przestałem się śmiać tak nagle, jak wprowadzeni w błąd niefortunną gierką aktora widzowie w teatrze, gdy zrozumieją, że scena jest tragiczna. To pewnie wariat — pomyślałem. Nie wypadało mi się jednak wycofywać, gdyż nieznajomy począł mówić dalej:

— Słyszał pan może o tej sprawie w K.? Było to tak. Kupiliśmy z żoną i szwagrem pół metra welwetu, dwa czarne guziki na oczy i zrobiliśmy niedźwiadka. Zaniosłem go do centrali sklepów z zabawkami. Obejrzeli i poprosili, żeby im dostarczyć dziesięć takich na próbę. Spodobał im się. Kupiliśmy więc pięć metrow welwetu i 20 guzików, zrobiliśmy dziesięć niedźwiadków i zanieśliśmy im. Rozesłali po sklepach — w ciągu paru dni wszystkie rozkupiono. Wtedy zamówili u mnie większą partię — sto sztuk. To ja mówię, dobrze, ale skąd wziąć welwetu? Nasza centrala wam dostarczy — mówi kierownik. Tylko na to czekałem. Dostaliśmy welwetu na sto niedźwiadków, uwinęliśmy się z nimi szybko i dostarczyliśmy. I tu się, panie, zaczęła kołomyjka. Co dostarczymy niedźwiadki do centrali, ta je roześle po sklepach, trzy dni minie i już wszystkie wyprzedane. Sklepy wołają o miśki, centrala zamawia u nas nową partię i pcha nam welwet, żebyśmy tylko te miśki szybko robili. Przekręciliśmy w rok chyba parę tysięcy sztuk. Kierownik nawet się trochę dziwił, co się tym ludziom stało, że tak te miśki wykupują. Ale któregoś dnia przestał się dziwić, zapchaliśmy rynek welwetem, po nitce do kłębka doszli do nas i zamknęli.

— To pan pobierał od centrali za dużą ilość welwetu i nadwyżkę sprzedawał na czarnym rynku? — zapytałem.

— Nie, sprzedawaliśmy wszystko, cośmy pobierali z centrali.

— Jakto, wszystko? To z czego robiliście niedźwiadki? Skąd się one brały? — pytałem dalej zdumiony.

Nieznajomy uśmiechnął się chytrze rad z niespodzianki, jaką mi za chwilę sprawi i odpowiedział:

— Ze sklepów! Po prostu szybko wykupywaliśmy swoje własne miśki, nieśliśmy je z powrotem do centrali, pobieraliśmy welwet, Centrala rozsyłała je do sklepów... i tak, dokoła Wojtek! Jedyną trudność mieliśmy wtedy, kiedy nie zdążyliśmy wykupić wszystkich. Czasem, jak się szwagier zapił, to ktoś zdążył wykupić jednego, dwa miśki i trzeba było drani dorabiać...

Teraz zrozumiałem. Opłaciło im się wykupywać w sklepach swój własny towar, żeby zarabiać na sprzedawanym na czarnym rynku materiale.

— No, tak, — powiedziałem — ale to przecież oszustwo?

— Eee... i tak i nie. Towar przecież dostarczaliśmy według umowy. Ot, taka sobie k o m p i n a c j a. Ale po pół roku dostaliśmy wszyscy troje.

— I słusznie! — wyrwało mi się szczerze, choć może niezbyt taktownie.

Nieznajomy spojrzał na mnie w taki sposób, że nie miałem już wątpliwości, iż jego nieufność w stosunku do mnie przerodziła się w nienawiść. Począł teraz mówić szybko, ze złością:

— Oszustwo, oszustwo! Jakie tam, panie, oszustwo! Wszyscy przecież zarabiali, ludzie mieli materiał...

— Ale dzieci nie miały niedźwiadków! — przerwałem mu. — I ten malec, co przed chwilą tu przechodził, przez pana też może nie dostanie.

— No to co, że nie dostanie. Najwyżej sobie trochę pobeczy. Zresztą, mogą mu dać jakąś zabawkę z drzewa...

— O ile nie zacznie pan z kolei pracować w drzewie — wtrąciłem i zdenerwowany dodałem: — A co pan właściwie teraz robi?

Zastanawiał się przez chwilę, taksując mnie wzrokiem, czy się nadaję do dalszych zwierzeń.

— Rozglądam się... — powiedział niepewnie. — Mam już nawet plan nowej „kompinacji". Ale to coraz trudniej idzie. Ludzie się powycwaniali...

Krew uderzyła mi do twarzy. Aby uniknąć podania mu ręki na pożegnanie, odwróciłem się i począłem się szybko oddalać. Nie zdążyłem jednak ujść kilkunastu kroków, gdy stanąłem jak wryty. Krzyczała jakaś kobieta. Pewnie napadł bydlak na kobietę — pomyślałem i odwróciłem się, by biec na pomoc, lecz to, co ujrzałem ponownie zatrzymało mnie w miejscu. Kobieta wciąż krzycząc przeciągle, pokazywała palcem coś w górze. Spojrzałem szybko w tym kierunku i na wysokości dachów zobaczyłem jakiś wielki, lecący cień.

Krzyk kobiety zwabił mieszkańców uliczki. Z bram wybiegło parę osób, które się zbiły w gromadkę i stojąc z zadartymi do góry głowami, poczęły bezładnie komentować dziwaczne zjawisko.

— Myślałam, że umrę ze strachu, jak mi coś spod nóg prawie wyrwało się do góry — powiedziała kobieta, która przed chwilą krzyczała.

— Co to może być? Na nietoperza za duże... — zastanawiał się głośno łysawy pan, którego syn tak gorąco prosił przed chwilą o niedźwiadka.

— Jeżeli to w ogóle ptak, to raczej sęp! — stwierdził człowiek w roboczym kombinezonie.

Rozejrzałem się po naszej gromadce, najzupełniej przypadkowo zebranej grupce ludzi, których los, jak gracz karty, połączył na krótki przeciąg czasu, by za chwilę znowu roztasować. Nie dostrzegłem wśród niej człowieka, z którym przed chwilą zaledwie rozmawiałem. Spojrzałem raz jeszcze w górę z rosnącym przeczuciem. Słońce, które znikło już za horyzontem, ostatnim promieniem odbitym od chmury, na mgnienie oka trwające krócej od błyskawicy, oświetliło wysoko ponad dachami domów szybujący niezdarnie kształt. Tak... to chyba on! Mózg mój począł gorączkowo pracować. Przedstawił mi się tak jakoś, jakby „Niebieski"... Zniknął tak nagle... Robotnik powiedział: „Jeżeli to jest w ogóle p t a k... Ależ... no, naturalnie!

— To jest niebieski ptak! — wykrzyknąłem, wskazując palcem w górę.

Wzrok całej gromadki powędrował w ślad za mym palcem, ale zrobiło się zupełnie ciemno i nie było już nic widać. Ludzie spojrzeli na mnie jakby z politowaniem i poczęli się wolno rozchodzić.

Po chwili zostałem sam. Ogarnęła mnie gorączka działania, chęć uprzedzenia dyrektorów, kierowników różnych spółdzielni, przedsiębiorstw, szefów centrali, że Niebieski Ptak zgłosi się prawdopodobnie do nich jutro rano, że będzie proponował im jakąś nową „kompinację", że ma już nawet gotowy jej plan... Ale jak to zrobić? Rozesłać depesze? Nie zrozumieją. Dać ogłoszenie do gazet? Przecież nie umiałbym go nawet określić. A może po prostu opisać co się wydarzyło na mojej uliczce tego grudniowego wieczoru?

Tak, to chyba jedyne wyjście.

Może dzięki temu, że ktoś ten opis przeczyta, więcej dzieci będzie miało miśki pod choinką...

I nie tylko miśki.

PRZYPOMINAMY konkurs literacki „Dziś i Jutro"

Redakcja katolickiego tygodnika społecznego „Dziś i Jutro" w związku z uroczystościami obchodu X-lecia Polski Ludowej przypomina ogłoszony

KONKURS LITERACKI pod nazwą „Na drogach ku Polsce Ludowej"

Konkurs ma na celu możliwie najszersze i najpełniejsze podsumowanie wyników dotychczasowej pracy pisarzy reprezentujących współczesną polską twórczość katolicką. Dlatego też nie przewiduje się żadnych ograniczeń co do gatunku i rozmiarów utworów konkursowych.

Reprezentowane mogą więc być wszelkie odmiany poezji i prozy artystycznej. Autorom pozostawia się również swobodę w wyborze tematu. Ponieważ jednak konkurs został zorganizowany w związku z X-leciem Polski Ludowej, pragniemy, aby w możliwie najszerszym zakresie uwzględniona została w pracach konkursowych problematyka naszej współczesności (np. problem Ziem Zachodnich, kwestie autochtońskie itp.), a szczególnie zagadnienia przeobrażeń ideowych prowadzących do twórczej współpracy przy budowie Państwa Ludowego oraz zagadnienia tej właśnie współpracy. Podjęcie przez autora tego rodzaju problematyki przy jednoczesnym mocnym zaakcentowaniu postawy katolickiej. decydować będzie o pierwszeństwie danego utworu przed innego rodzaju pracami stojącymi na podobnym poziomie artystycznym.

Warunki konkursu

Prace konkursowe powinny być przepisane na maszynie w czterech egzemplarzach podpisanych kryptonimem konkursowym, do których należy dołączyć kopertę oznaczoną tym samym kryptonimem, a zawierającą pełne imię, nazwisko i dokładny adres autora.

Materiały konkursowe nigdzie dotąd nie publikowane należy przysyłać na adres redakcji „Dziś i Jutro", Warszawa. Mokotowska 43, IV piętro, z wyraźnym dopiskiem na kopercie: KONKURS LITERACKI.

Ostateczny termin nadsyłania materiałów konkursowych upływa z dniem 1 marca 1954 roku. O ważności decyduje data stempla pocztowego w miejscu nadania.

Ogłoszenie wyników konkursu nastąpi w połowie kwietnia 1954 roku. Redakcja „Dziś i Jutro" zastrzega sobie pierwszeństwo ewentualnego drukowania materiałów, jak i przekazania ich wydawnictwu „Pax" z propozycją antologicznego opublikowania.

Nagrody

w dziale prozy:

I nagroda — trzy tysiące złotych
II nagroda — dwa tysiące złotych
III nagroda — tysiąc złotych;

w dziale poezji:

I nagroda — dwa tysiące złotych
II nagroda — tysiąc pięćset złotych
III nagroda — siedemset pięćdziesiąt złotych.

Prócz tego przewidziane są cztery wyróżnienia po 500 złotych i 10 nagród książkowych wydawnictwa „PAX".

Jury ma zastrzeżone prawo — w razie konieczności — nieprzyznawania, dzielenia lub łączenia poszczególnych nagród.

Skład sądu konkursowego

1. Prof. dr Stefania Skwarczyńska
2. Dr Witold Ostrowski
3. Mieczysław Kurzyna, red. nacz. „Tygodnika Powszechnego"
4. Tadeusz Mazowiecki, red. nacz. „Wrocławskiego Tygodnika Katolickiego".
5. Andrzej Krasiński
6. Stefan Lichański
7. Zygmunt Lichniak

} redaktorzy „Dziś i Jutro"

Przypominając jeszcze raz o Konkursie wzywamy wszystkich uczestników do terminowego nadsyłania materiałów.

JANINA PIASKOWSKA

OSIĄGNIĘCIA AKTORSKIE W „TAKICH CZASACH" JURANDOTA

Warszawa. Teatr Kameralny. Reżyseria: Marian Wyrzykowski. Scenografia: Zenobiusz Strzelecki.

„Takie czasy" Jurandota, to utwór sceniczny, który witamy słowem: nareszcie. Nareszcie współczesna polska komedia,

Barbara Ludwiżanka i Czesław Wołłejko

Nawet malkontent musi przyznać, że Jurandot napisał zręczną komedię satyryczną. Nawet najlepszy przyjaciel musi powiedzieć—to jednak jeszcze jedna sztuka produkcyjna. Trzeba mieć Jurandota doświadczenia teatralne i dużą zręczność pisarską, ażeby móc pozwolić sobie na takie salto, jakie zrobił, komponując swoją ostatnią komedię: krytykował schematyczne podejście do pisania sztuki produkcyjnej — pisząc sztukę produkcyjną. Pomijając tę zręczną żonglerkę konstrukcyjną, „Takie czasy" dają nam dużo okazji do śmiechu i za to jesteśmy autorowi wdzięczni, ponieważ bardzo jesteśmy śmiechu w teatrze spragnieni. Pragniemy komedii na scenie. Chcemy się śmiać z naszych usterek, wad, przywar i małości, bo to nas z nich leczy; ale chcemy również śmiać się beztrosko z komicznych sytuacji życiowych, tworzących się przez prąd życia, ten prąd, który na innych zakrętach tej samej drogi życia tworzy tragedie.

Mamy prawo do śmiechu i do radości.

Niestety, autorzy piszący dla sceny nie dali nam do tej pory tego prawa do śmiechu w teatrze wykorzystać. Jeżeli ostatnia sztuka Jurandota budzi takie refleksje, to dowód, że była potrzebna i że dobrze spełnia swoje zadanie.

Jurandot napisał nie tylko zręczną i dowcipną komedię, ale napisał również siedem świetnych ról; co, jeśli się weźmie pod uwagę, że w sztuce występuje tylko siedem postaci, jest dużym walorem utworu scenicznego. Do podkreślenia tego waloru przyczyniła się w znacznej mierze reżyseria **Mariana Wyrzykowskiego.** Jak każda dobra reżyseria jest ona nieomal niewidoczna, ale odczytujemy ją z logicznych sytuacji, ze swobody, jaką aktorzy zostali obdarzeni przez reżysera w potraktowaniu swoich tekstów dla ukształtowania postaci scenicznych — i z właściwego tempa sztuki i każdej z ról.

Wyrzykowski ani przez chwilę nie zastosował tempa farsowego czy skeczowego. Sztuka jest grana raczej na pauzach, tych potrzebnych niewielkich pauzach, dzięki którym aktorzy mają czas na normalne sceniczne reagowanie, a mimo to czas sceniczny biegnie szybko i komedia jest grana lekko.

Sztuka, grana na ogół doskonale, ma dwa wybitne osiągnięcia aktorskie: Kondrata w roli dyrektora fabryki i Ludwiżanki w roli jego żony.

W sposobie grania roli dyrektora Zielińskiego przez **Tadeusza Kondrata** zachwyca nas niebywała bezpośredniość, delikatność ujęcia i jakieś bardzo bliskie każdemu widzowi ciepło, które promieniuje od Kondrata ze sceny. Kondrat w tej roli jest tak przyjemnie skromny, tak rozkosznie „typowy" jako zwykły człowiek, że ma się ochotę go uściskać i powiedzieć: tak, tak, kochany człowieku, masz rację — właśnie tak jakiś dyrektor pociera zwykle nos, kiedy jest zakłopotany, właśnie tak poprawia krawat, kiedy ma nadzieję na flirt z ładną dziewczyną, właśnie tak niegroźnie się irytuje i może tak uśmiecha się ładnie, z zakłopotaniem i nieśmiałą nadzieją.

„Bardzo ślicznie" pan to zagrał, panie Tadeuszu — i to jest właśnie wdzięk, ten nierobiony — ten prawdziwy.

Co do kreacji **Barbary Ludwiżanki,** zacznę od tego, co jest i nie jest jej zasługą, a mianowicie od jej urody i od sposobu, w jaki umie ona walory swej urody dla sceny wykorzystać. Ludwiżanka, która jako żona dyrektora małej fabryki gwoździ na prowincji wchodzi na scenę zgrabna jak lalka z magazynu mód, uczesana i ubrana jak z ostatniego Vogue — dowodzi swoim wyglądem, że świetnie rozumie tekst autora, który każe jej mówić: „jak się ta Warszawa znowu zmieniła — wyobraźcie sobie, że nie chodzi się już do Kameralnej, tylko do Rarytasa". Naturalnie, że taka paniusia, która w budującej się Warszawie przede wszystkim widzi nowo otwarte eleganckie restauracje, a na końcu dodaje, że „i dużo nowych domów przybyło", i która marzy o tym, żeby męża wyrzucili z posady, bo wtedy może przeniosą się do Warszawy, musi myśleć przede wszystkim o nowej fryzurze, a następnie o nowym flircie — i na nic innego w tej ładnej łepetynie już nie ma miejsca. Ludwiżanka potraktowała swoją rolę w sposób nieszablonowy, a to dlatego, że nie zagrała mizdrzącej się szczebiotki, na co mogła sobie pozwolić nawet idąc za tekstem autora. Ludwiżanka zagrała idiotkę „serio", pseudointelektualistkę, tę najtrudniejszą do podpatrzenia, do zagrania i do wyśmiania. Zagrała idiotkę z namysłem, z całą „głębią" głupoty. Przy tym zachowała ogromny umiar w sposobie podawania widowni swojej koncepcji roli. Zwłaszcza akt trzeci, scena powrotu z Warszawy, zasługuje na specjalne pochwały. Ludwiżanka — Dorota wchodzi na scenę jakaś odświeżona podróżą do stolicy — jakaś łaskawsza dla męża, bardziej uśmiechnięta do otoczenia — i to rozkoszne, rozkapryszone słówko: już, już. Ta pewność swojej atrakcyjności! Całe to opowiadanko Doroty o jej pobycie w Warszawie, to w wykonaniu Ludwiżanki cacko komediowej gry wysokiej klasy.

Co do **Czesława Wołłejki,** grającego rolę literata Skupienia, to należy zaznaczyć, że jest to co prawda rola główna, ale raczej tak zwana rezonerska, nie leżąca w dziedzinie talentu Wołłejki, którego gorący temperament tak pięknie wre i wybucha w takich sztukach, jak Ostrowskiego „I koń się potknie". Wołłejko jest aktorem młodym, ale dostatecznie już dojrzałym i skrystalizowanym, ażeby nie grywać już ról nie leżących w jego charakterze, jedynie po to, żeby zdobywać technikę sceniczną. To, że Wołłejko rolę przyjął i włożył w nią dużo wysiłku, że starał się zagrać troszkę starszego pana—rezonera, to wszystko należy zapisać na plus tego młodego, ale poważnego aktora, natomiast obsadzenie go w tej roli zapisać należy na minus w gospodarowaniu talentami aktorskimi.

Skoro już mowa o złej gospodarce talentami, pomówimy o **Marianie Łączu.** Łącz jest w roli Czyżyka bezkonkurencyjny. Ma i bezpośredniość w mówieniu, i świetny sposób słuchania partnera, jest ogromnie konsekwentny — jest prosty, a nic w roli nie upraszcza — ma świetne warunki, ma bardzo wiele walorów... Ale — dosyć obsadzania Łącza w „prostych chłopcach", w rolach młodzieżowych, w sztukach współczesnych — dosyć! Bo zmarnujecie Łącza! Proszę o rolę dla Łącza, choćby małą, w wielkim dramacie klasycznym — i niech nawet tę pierwszą rolę położy, niech nie będzie świetny jak w „Takich czasach". — Ale niech przestanie być sobą — Marianem Łączem, przemiłym, prostym, „swoim" chłopakiem. Proszę nie wykorzystywać Łącza; proszę go rozwijać. To duży talent. Nie wolno go tak ograniczać i pchać w manierę, przed którą jakimś cudem na razie się uchował.

A teraz już dla kompletu o **Krystynie Karkowskiej** w roli sekretarki Eli. Ta rola niestety nie jest dobrze grana. Może dlatego, że Karkowska do takiej roli i w takim zespole jeszcze nie dojrzała. Karkowska nawet dobrze mówi, ale tylko mówi. A to niestety nie stanowi jeszcze o graniu. Granie to nie jest też „przegrywanie". Pedał, który młoda aktorka ciągle naciska, zwłaszcza w scenach mimicznych, męczy i denerwuje widza. Należałoby zapewne umożliwić tej młodej aktorce wygranie się w większych rolach, choćby nawet na mniejszej scenie.

A teraz znów możemy się cieszyć, ponieważ mówimy o **Morawskim** w roli majstra Petryki. Rzadko zdarza się, ażeby młody mężczyzna grając rolę człowieka starego był tak prawdziwy, był tak biorący za serce jak Morawski w roli starego racjonalizatora. Tego majstra Petrykę wszyscy na widowni lubią i wszyscy się jego sukcesem cieszą. A co najważniejsze, wszyscy w Petrykę Morawskiego wierzą.

A Chmurkowski? — **Feliks Chmurkowski** świetnie gra zabawnego zrzędę — księgowego. W tym wypadku naprawdę trudno dociec, czy rola jest tak dobrze napisana, czy jeszcze lepiej zagrana. A że rola nie jest duża — więc duża jest zasługa Chmurkowskiego.

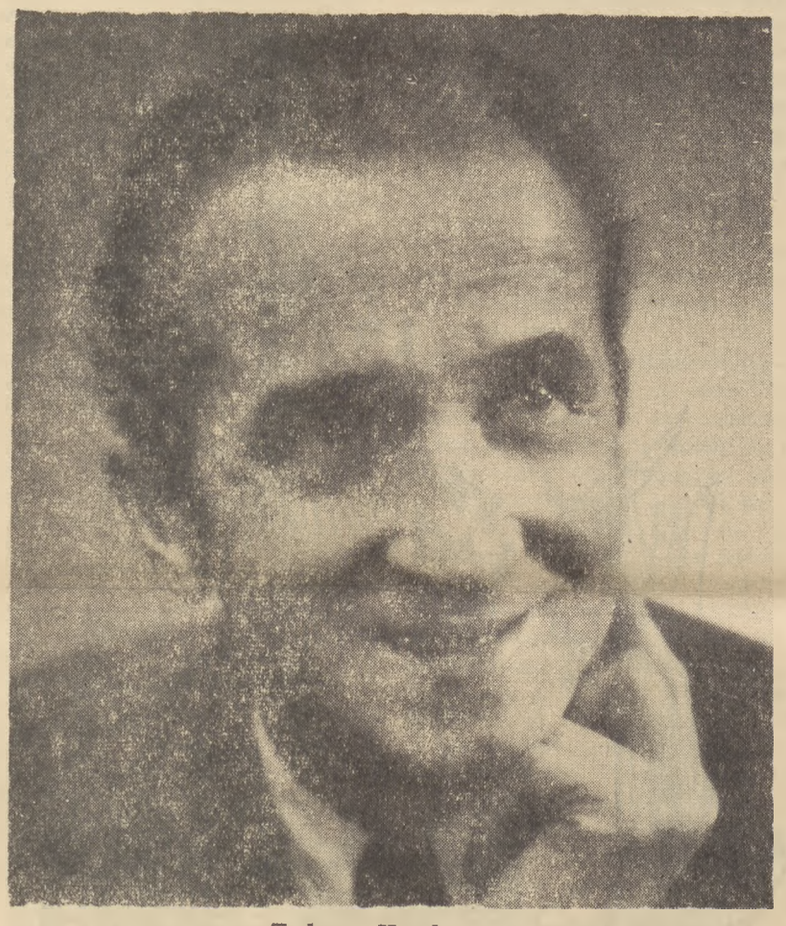

Tadeusz Kondrat

Zdjęcia COPA

Wniosek ostateczny: zabawna, dowcipna sztuka, bardzo dobrze zagrana. Prosimy o więcej takich przedstawień.

Janina Piaskowska

By całe Niemcy stały się krajem pokoju

(Dokończenie ze str. 3)

ale moglibyśmy opowiadać jeszcze przez tydzień, tak dalece nasi rozmówcy, którym nie brak dobrej woli, są odcięci od naszej rzeczywistości, tak dalece im propaganda na Zachodzie zniekształciła obraz stosunków między narodem polskim a siłami demokratycznymi narodu niemieckiego.

Czy wiecie — pytamy się z kolei my, że w najbliższym czasie Polska przekaże Niemieckiej Republice Demokratycznej blisko dwieście obrazów, dzieł sztuki niemieckiej, należących do waszego dorobku kulturalnego, które zostały znalezione na Ziemiach Zachodnich, przez nas odnowione i przechowane?

Nie sądzę, by ta rozmowa zdołała wyrwać wszystkie zadry, któremi pieczołowicie usiano umysłowość ludności Niemiec zachodnich, zwłaszcza przesiedleńców. Jestem jednak pewny, że ci ludzie, którzy przyjechali do Weimaru przekonać się, czy są dla nich możliwości pokojowego życia, powrócili do swych rodzin z mocnym przeświadczeniem, że warto o pokój walczyć i że można wierzyć w przyjaźń narodu polskiego i niemieckiego.

Kongres się kończy. Niemiecki ruch pokoju podejmuje się zadania ujawnienia wobec obradujących wielkich mocarstw woli pokoju i zjednoczenia nurtujących masy niemieckiego narodu. „Czujemy się zobowiązani, stwierdza końcowe orędzie, skierowane do sąsiadów Niemiec, przedstawić konferencji czterech mocarstw w Berlinie pragnienie całego narodu niemieckiego, by przywrócona została jedność i zawarty traktat pokoju, zapewniający pokojowy, demokratyczny rozwój naszej ojczyzny. Takie Niemcy służyć będą sprawie pokoju, rozładują naprężenia polityczne w Europie, zagwarantują bezpieczeństwo narodów sąsiadujących".

Po trzech dniach obrad zadziergnęła się między uczestnikami kongresu niejedna trwała przyjaźń. Utrwaliło się jednak przede wszystkim przekonanie, że u swych podstaw, w masach robotniczych przede wszystkim, ale i również w co zdrowszych środowiskach mieszczańskich i wśród inteligencji narasta mocny i zdrowy nurt dążący do przeciwstawienia zmorze faszyzmu twórczej i pokojowej roli, jaką mogą odegrać Niemcy w Europie i w świecie. Konieczny jest tylko ciągły wysiłek narodów europejskich, by stworzyć warunki sprzyjające zjednoczeniu Niemiec i utrwaleniu jego pokojowych i demokratycznych tendencji. Tę rolę bierze na siebie Związek Radziecki na konferencji czterech w Berlinie, a Polska, jak i wszystkie kraje demokracji ludowej, jak wszystkie siły demokratyczne, jak wszyscy ludzie rozsądni w Europie, poprą tę wielką walkę o przyszłość sprawy pokoju i przyszłość niemieckiego narodu.

Wojciech Kętrzyński

TADEUSZ PEIPER

O kołtunach i głupcach Zapolskiej

Część druga

I

W „Ich czworo" wypowiada autorkę „Mandragora", postać fantastyczna i symboliczna. Uważana ona była przez wielu komentatorów i uważana jest nadal za zbyteczną naleciałość symbolizmu, za objaw przechylania się autorki ku nowemu kierunkowi artystycznemu, jakby ku nowej modzie. Tej postaci pojawiającej się tylko w prologu i epilogu, między którymi osadzony jest normalny dramat naturalistyczny, odmawiają komentatorowie racji bytu, jako że dramat ów tłumaczy się sam przez się.

Niewątpliwie, Mandragora wywodzi się z symbolizmu, lecz — aby zdać sobie sprawę z motywów, jakie skłoniły naturalistkę Zapolską do sięgnięcia po fantastyczne symbole — trzeba wpierw rozpatrzeć, co te symbole w sobie zawierają.

II

Zjawiskiem najjaskrawszym jest w „Ich czworo" bezmyślność, z jaką ludzie tego dramatu nazywają siebie wzajemnie głupimi i głupcami, bezmyślność, z jaką rzucają te słowa na wsze strony, niekiedy nawet na siebie samych. „Głupi", „głupiec", „głupota" — to powtarza się tutaj nieustannie, jak w żadnym innym dramacie.

My jednak—jeżeli wnikliwie słuchamy i patrzymy — bynajmniej nie jesteśmy skłonni widzieć głupimi tych, których głupimi nazywają.

O żonie i jej kochanku powiemy, że nie są wykształceni, że nie mają kultury, że żyją w obyczajach nagannych, ale przyznamy, że każde z nich zmierza sprytnie do swojego celu, a kochanek posługuje się nawet metodami chytrze obmyślonymi. O mężu, który jest nauczycielem szkół średnich, wiemy, że życie i szczęście pojmuje dziwacznie, ale to nie jest głupota; a w ciągu dramatu poznajemy, że mylą się ci, ktorzy uważają go za głupiego życiowo i przypuszczają, iż on ich sprawek nie rozumie,

Gdy żona w rozmowie z mężem popełnia jakieś nielogiczności, to nie z tego powodu, że myśli głupio, lecz dlatego, że jest jej wygodnie popełnić nielogiczność i dzięki niej nie rozumieć myśli męża. Pozorna głupota jej myślenia pochodzi niekiedy stąd, że zapamiętale przywiązana jest do s w o j e g o punktu patrzenia i że mówi tylko to, co z n i e g o widzi, a inne punkty patrzenia nie obchodzą jej ani trochę.

Żona i kochanek, rozmawiając, skaczą nieustannie z tematu na temat, ale nie jest to wcale objawem umysłowego upośledzenia; to przejaw witalności, wyładowywanie zasobów życiowej energii. Żona wypowiada o swym pożyciu z mężem sąd taki: **„Ja sobie myślę, że całą przyczyną mojego nieszczęścia jest to, że ja i on jesteśmy z innego świata. Ja niby z takiego, co chce żyć, a on z takiego, co tylko myśli".** Przecież temu sądowi można śmiało przypisać niebylejaką rozumność, mimo że nie ujmuje on c a ł e j przyczyny nieszczęścia. Żona ukazuje się w tym sądzie jako wielbicielka życia, żywotności, witalności, a jej mąż — jako wielbiciel myśli. Dialogi, jak w innych dramatach Zapolskiej, psychologicznie znakomite, w tym wypadku odznaczają się odmiennością linii przebiegu, która wynika z odmienności ludzkich charakterów. Na każdym dialogu widać omal prawo psychologiczne, jakie autorka urobiła sobie z obserwacji rozmów ludzi rozmaitych, a — nie głupich.

Nie głupców mamy tutaj przed sobą.

III

Zapolska jednak nazwała „Ich czworo" tragedią ludzi głupich, a w instrukcjach autorskich każdej z głównych osób dramatu przypięła łatkę głupoty; mąż: **„człowiek wiedzy — głupi życiowo"**; żona: **„głupota uosobiona"**; kochanek: **„wesoły, głupkowaty".**

Nie jest to zgodne z wrażeniami i ocenami — naszymi.

Czyżby autorce nie udało się spełnienie pisarskiego zamiaru? Czyżby rys, wypisany w podtytule i w autorskich instrukcjach, nie spełnił się w dramacie?

Talent Zapolskiej nie zawiódł. Autorka nakreśliła swych ludzi logicznie i wyraźnie. Wykluczone, by nie była świadoma tego, co robiła i tego, co zrobiła. Ci ludzie mieli — z jej woli — być takimi, jakimi są. Nie głupimi.

Między tymi ludźmi a podtytułem i instrukcjami autorskimi zachodzi sprzeczność, którą autorka uświadamiała sobie, sprzeczność, której chciała.

Taka sprzeczność godna jest zastanowienia.

IV

W naszych zastanowieniach wspiera nas... postać fantastyczna.

Mandragora mówi o sobie w prologu, że jest ludzką duszą, że jest syntezą ludzkich dusz i że od tej syntezy oddarto jeden strzęp, ten, który widzowie oglądać będą na scenie. My dla własnego użytku możemy sobie powiedzieć, że jest wszechduszą, której cząstkami są dusze jednostkowe.

Mówi dalej Mandragora, że na scenie ukaże się głupota ludzkich spraw, ale ludzie, którzy się ukażą, wcale nie są źli, niekiedy są tylko zabawni. Sceniczny strzęp wyda się drobiazgiem, a jednak w tym drobiazgu będą zatrute strzały, będzie niszczenie szlachetnych myśli.

Już te prologowe wypowiedzi zawierają coś, czego w samym dramacie nie ma. Wypowiedzi te głoszą, że ludzie z „Ich czworo", jakiekolwiek by czynili wrażenie, nie powinni być uważani za złych, że jednak istnieją gdzieś jakieś zatrute strzały, jakieś siły niszczycielskie, i one to są przyczyną zła, przyczyną tragedii.

W świetle tych wypowiedzi będziemy potem musieli odrzucić twierdzenie „człowieka wiedzy", zdradzanego męża, który powie, że tacy ludzie, jak jego żona, noszą w s w o j e j g ł u p o c i e przyczynę tragedii własnych i tych, które powodują dokoła siebie. I będziemy lepiej rozumieli wdowę, gdy mówi kochankowi, że jest jej tragedią, bo — dobrze widząc, że jej tragedia nie pochodzi z głupoty, lecz z chytrej taktyki mężczyzny, który ją w sobie rozkochał — uważamy tego kochanka za punkt wyjścia strzał zatrutych.

W epilogu Mandragora dopowiada, jakie będą dalsze losy ludzi z „Ich czworo": żona i jej kochanek pójdą w błoto, mąż popadnie w szpony innej kobiety, dziecko łkać będzie. Takie ich losy przewidywaliśmy sami i do tego epilog nie był nam potrzebny.

Ale nie ogranicza się on do tego.

Mandragora mówi jeszcze o ł a ń c u c h u starganych istnień, jaki będzie rozciągał się wokół osób dramatu, i mówi o szantażach, o życiu na wiarę, o starciach, o hańbach. Takie losy, takie s e r i e ludzkich zdarzeń łączą się nam z prologowymi wypowiedziami o zatrutych strzałach i siłach niszczycielskich, jako głównej przyczynie tragedii.

I łączą się nam jeszcze ze słowami chytrej szwaczki, która chwyci męża w swe szpony, a która twierdzi, że tylko mądrzy ludzie odpowiadają za to, co zrobią złego, a głupi nie; łącząc to twierdzenie z „łańcuchem starganych istnień", domyślamy się, że skoro tak łatwo rzuca się na wsze strony słowem „głupi", to przecież łatwo będzie zaliczyć do „głupich" — także winowajców mądrych i chytrych, którzy w ten sposób uchylą się od odpowiedzialności.

Szczególną jednak wagę ma w

HISTORIA JEDNEGO STRAJKU I PEWNEGO FILMU

NIECZĘSTO się zdarza, aby historia strajku robotniczego tak się zrosła z dziejami filmu, że niesposób mówić o tych wydarzeniach oddzielnie. Górzysta i nieurodzajna równina, ciągnąca się wzdłuż zachodniej granicy stanu Nowy Meksyk w USA, była niedawno widownią wypadków, które dzięki pracy pewnej dzielnej ekipy filmowej przejdą do historii walki klasy robotniczej o wyzwolenie, jako jeszcze jeden dramatyczny jej epizod.

Nie wszyscy zapewne wiedzą, że w Stanach Zjednoczonych niepełnoprawnymi obywatelami są nie tylko Murzyni, ale że za obywateli II kategorii uważa się i Meksykańczyków, którzy są mieszańcami najeźdźców hiszpańskich z plemionami zamieszkującymi niegdyś Amerykę. Okręg górniczy Nowego Meksyku, składający się z szeregu małych osad, jak Hanower, Hurley, Fierro, Bayard, Central, skupionych wokół pokaźniejszego już Silver City — stolicy okręgu — zamieszkany jest w 90% przez ludność meksykańską posługującą się w mowie potocznej językiem hiszpańskim. Prawie wszyscy ci ludzie pracują jako górnicy w prymitywnych kopalniach miedzi, cynku i ołowiu, eksploatowanych przez kilka dużych koncernów. Te tzw. Towarzystwa Eksploatacyjne płaciły swym akcjonariuszom niezłe dywidendy, naturalnie — kosztem tańszej niż „biała", meksykańskiej siły roboczej. Dyskryminacja rasowa objawiała się nie tylko w płacy, ale i w polityce Dyrekcji Towarzystw, które odmawiały Meksykańczykom stanowisk robotników wykwalifikowanych, budowały dla nich osobne nędzniejsze domy itp. W r. 1951 niektóre obwody związków zawodowych okręgu — mające energiczniejsze i bardziej uświadomione zarządy — wystąpiły z żądaniami tych praw, które już dawno przysługiwały górnikom w całych Stanach Zjednoczonych. Gdy dyrekcje koncernów jednomyślnie dały odpowiedź odmowną — w całym okręgu rozpoczął się strajk trwający przeszło rok.

Wyjątkowo długi okres trwania strajku; niepowodzenie władz lokalnych usiłujących interweniować (oczywiście za pomocą przekupstwa i łamistrajków); histeria publiczności, której mówiono, że niektóre oddziały związków zawodowych są kierowane przez komunistów; udział kobiet w czynnej akcji strajkowej — doprowadziły spokojny dotąd okręg do stanu wrzenia. W momencie najgorętszej walki strajkowej przybył przypadkowo do Bayard postępowy pisarz filmowy, Paul Jarrico, będący zresztą na czarnej liście wyklętych z Hollywood filmowców. Obserwując dramatyczną walkę górników, Jarrico zwrócił się do jednego z czynnych działaczy związkowych 890 obwodu związku zawodowego w Bayard, Clintona Jencksa, z propozycją zrealizowania filmu dokumentalnego o sytuacji ekonomicznej i warunkach życia górników okręgu i ich rodzin. Jencks naturalnie poparł projekt obiecując pomoc rodzin górniczych w zorganizowaniu udziału w filmie. Paul Jarrico zaprosił wtedy do współpracy nad scenariuszem również „wyklętego" przez Hollywood znanego scenarzystę — Michaela Wilsona — który przybył do Bayard i wspólnie z Jarrico wmieszał się niepostrzeżenie w strajkujących, biorąc nawet udział w walczących z policją pikietach strajkowych. Te, uchwycone na gorąco obserwacje, zmieniły pierwotny zamiar filmowców stworzenia filmu dokumentalnego nasuwając im koncepcję przeniesienia na ekran dramatycznego konfliktu między górnikiem a jego żoną, odmawiającą czynnego udziału w strajku. W tym bowiem okresie strajku udział w nim kobiet był przedmiotem wielu sporów i antagonizmów. Od początku strajku dyrekcja koncernów „dogadała" się z miejscowymi władzami uzyskując od sądu w Silver City pismo zabraniające pikiet strajkujących na drogach wiodących do kopalń pod pozorem, że są to drogi publiczne. Na drogi z nieusuniętymi jeszcze tabliczkami „droga prywatna" przybyli uzbrojeni stróże praw publicznych i zaczęli usuwać pikiety robotnicze aresztując opornych. Zarząd związku wpadł wtedy na pomysł, aby na drogi wysłać kobiety z dziećmi — wobec których policjanci byli bezsilni. Aresztując te niecodzienne pikiety strajkowe musiano zabierać kobiety razem z dziećmi, z którymi nie wiedziano, co począć w więzieniu. W końcu Zarząd Towarzystwa ustąpił. Strajk został w zasadzie zakończony zwycięstwem robotników. Zarząd koncernu zdołał się jednak zemścić za przegraną. Sąd Najwyższy Nowego Meksyku wezwał wielu członków zarządu tak dzielnie walczącego związku zawodowego i wytoczył im sprawę za „obrazę trybunału". Obraza polegała na zakpieniu sobie z sądowych nakazów ustąpienia z dróg przez wysłanie na pikiety strajkowe kobiet z dziećmi. Wielu z czynnych zwolenników tej akcji kobiecej zostało skazanych na więzienie. Ten długi beznadziejny w swej nędzy strajk, przekupstwa i zdrady prowokowane przez dyrekcję towarzystwa, a w końcu oburzający proces sprawiły, że ze zwycięstwa nikt się nie cieszył, a cała dotąd jednolita społeczność górnicza podzieliła się na zwalczające się nawzajem obozy. Taka była sytuacja, gdy do Silver City przybyła ekipa złożona z około trzydziestu filmowców, aby realizować film według scenariusza Jarrico i Wilsona pod roboczym tytułem „Sól ziemi". Do produkcji swego filmu autorzy zorganizowali tzw. firmę niezależną będącą po prostu spółką większości wykonawców. Prezesem spółki został operator Simon Lazarius. Reżyserem filmu — Bieberman, jeden ze słynnej „dziesiątki" uwięzionych w Hollywood. Do głównej roli kobiecej zaangażowano młodą artystkę meksykańską, Rosaure Revueltas, która przybyła w tym celu z Meksyku. Pod koniec stycznia 1952 roku zdjęcia już były w toku, gdyż całość dekoracji przygotowana została poprzednio. W zdjęciach brały udział rodziny górnicze.

To, że trzydziestu niezależnych filmowców, w tym większość „wyklętych" z Hollywood kręci sobie najspokojniej film, który jest dokumentem wyzysku kapitalistycznego i dyskryminacji rasowej — takie zuchwalstwo w Stanach Zjednoczonych nie mogło być długo tolerowane. Rozpoczęła się niebywała kampania, rozdmuchana oczywiście przez dyrekcję koncernów, zmierzającą do uniemożliwienia zrealizowania filmu metodami „jak najbardziej" demokratycznymi i legalnymi — poprzez „wolną" niecenzurowaną prasę, również „wolne" miejscowe radio i telewizję. Te trzy ośrodki „wolnej" propagandy w Silver City i w pobliskim El Paso należą właśnie do tego samego zainteresowanego koncernu.

Hasłem do walki było oświadczenie Waltera Pidgeona, że realizatorzy filmu „Sól ziemi" nie mają nic wspólnego z żadną organizacją twórców filmowych lub aktorów Hollywood. Następnie przybył do Silver City specjalny delegat „Rady Przemysłu Kinematograficznego" (zrzeszenie skupiające właścicieli koncernów i rządowe oficjalne czynniki propagandowe) na przeprowadzenie dochodzeń w sprawie filmu. Wyniki tych dochodzeń zostały ogłoszone w oszczerczym artykule umieszczonym w Daily Press, miejscowej gazecie, pod wiele mówiącym tytułem: „Nadszedł czas, aby wybrać".

Te wstępne kroki nie zrobiły żadnego wrażenia na realizatorach, którzy nadal kontynuowali swoją pracę. Wtedy nastąpiło uderzenie mocniejsze. Pod koniec kwietnia niejaki Donald Jackson, przedstawiciel do Kongresu ze stanu Kalifornia, wystąpił przed Kongresem z 20 minutową mową skierowaną przeciwko realizacji filmu „Sól ziemi". Oracja Jacksona utrzymana w tonie patriotyczno-wzniosłym zawierała m. in. takie rewelacyjne oświadczenia: „Film ten będzie nową bronią dla Związku Radzieckiego, przedstawia się w nim USA jako kraj prześladujący wszystkich ludzi nie białej rasy... Zrobię wszystko, co jest w mojej mocy, aby ten komunistyczny film nie był wyświetlany w moim kraju". Należy przy tym dodać, że Jackson nie widział ani jednej sekwencji filmu i nie rozmawiał nigdy z jego realizatorami.

Po oświadczeniu Jacksona zaczęło się używanie dla Dyrekcji Towarzystw Eksploatacyjnych. Powstała wspaniała okazja nie tylko do zniszczenia filmowego dokumentu oburzających metod zarobkowania koncernów, ale i do zlikwidowania oporu związków zawodowych przez usunięcia bardziej uświadomionych przywódców.

Prasa, radio i telewizja w Silver City i El Paso prześcigały się, w powtarzaniu bzdurnych oskarżeń Jacksona dodając od siebie różne „patriotyczne" komentarze — i kierując swe ataki głównie przeciw Clinto Jencksowi i innym przywódcom zwycięskiego strajku 890 obwodu związku zawodowego w Bayard. Następnie miejscowe władze bezprawnie zaaresztowały Rosaure Revueltas zmuszając ją do natychmiastowego opuszczenia Stanów.

Oszczercza, zajadle prowadzona kampania prasowa zaczęła dawać już i inne wyniki. W malutkiej osadzie Central, gdzie realizatorzy za uprzednim zezwoleniem burmistrza chcieli nakręcić kilka scen, zebrała się grupa kilkunastu mieszkańców pod przewodnictwem znanego łamistrajka Letta, prowokując bójkę zakończoną pobiciem obecnego tam Clintona Jencksa. Podczas następnych kilku dni jego samochód był celem kul karabinowych. Zajście w Centralu zostało podane przez gazety miejscowe jako potężna manifestacja przeciw filmowcom w artykule pt. „Brawo, obywatele, zaczynajcie oczyszczać u siebie powietrze od niezdrowych czerwonych oparów". Tego rodzaju artykuły codziennie zamieszczane w miejscowej prasie plus bezustanne powtarzanie mowy kongresmana Jacksona doprowadziły do innych podobnych prowokacji i zajść w stosunku do realizatorów, którzy niezwruszenie pracowali dalej.

Do ataku następnie wciągnięto organizację faszystowską „legion amerykański", który natychmiast zaczął działać w sposób sobie właściwy. Pewnej nocy wysłano do ekipy przebywającej w Ranch de Roos, stałym miejscu swego pobytu, ultimatum mniej więcej tej treści: „Jeśli do południa następnego dnia ekipa nie opuści okręgu, zostanie ona w całości wymordowana przez dzielny legion". Około 4 pp. następnego dnia ruszyło dziesięciu uzbrojonych mężczyzn w kierunku siedziby filmowców za nimi miał ruszyć pochód zbierający się pod gmachem legionu amerykańskiego w Centralu. Z drugiej strony zaczęli się zbierać obrońcy i zwolennicy Clintona Jencksa i zagrożonej ekipy filmowej. Do rozlewu krwi jednak nie doszło, gdyż przerażony szeryf zadzwonił do szefa policji stanu z żądaniem pomocy. Niebawem nadjechało czterdzieści aut z policją, która rozpędziła obie strony. Sytuacja zaczynała być tak poważna — ulice osad okręgu opustoszały, uzbrojone auta pancerne krążyły po okolicy — że szef policji stanu zgodził się na nalegania księdza katolickiego z Silver City, Ojca Linnane, aby wspólnie z ekipą filmową uzgodnić środki przeciw dalszym awanturom. Na spotkaniu w mieszkaniu księdza Linnane szef policji stanu De Roach uzgodnił z Biebermanem i Wilsonem, że ekipa pod osłoną policji w ciągu dwóch tygodni zakończy zdjęcia i wyjedzie z okręgu.

Jeszcze w przeddzień wyjazdu filmowców zdążył nieznany sprawca podpalić dom Związku Zawodowego w Bayard 890 obwodu.

Film mimo wszystko został zrealizowany. Jest on dokumentem wyzysku i bezprawia koncernu wobec miejscowej ludności. Epilog tych zajść jest bardzo charakterystyczny — w kilka miesięcy później te same gazety, które przedtem bezustannie podjudzały do awantur zaczęły umieszczać prostujące komentarze. Wynikało z nich, że gorszące awantury i manifestacje prowokowane były przez komunistów a czynny udział w nich brali oczywiście jedynie przeklęci „Meksykańczycy".

Opracowane na podstawie prasy zachodniej przez **L.G.**

Na półce księgarskiej

Poezja Warmii i Mazur

Wśród pozycji wydanych ostatnio przez Pax przyciąga wzrok interesująca szata graficzna „Poezji Warmii i Mazur" *), pierwszej książki paxowskiej poświęconej tym ziemiom. Ludowe ornamenty, jakimi zdobiona jest okładka, zdają się zapowiadać to, co stanowi element zasadniczy całego tomu. Zarówno Maria Zientara-Malewska, jak Michał Lengowski, Teofil Ruczyński i Alojzy Śliwa, żyjący do dziś poeci warmińsko-mazurscy, których utwory składają się na tom, pełną garścią czerpali z bogatej tradycji ludowej, z pieśni, baśni i legend i nierozerwalnie związali życie ludu warmińskiego ze swoją twórczością literacką.

Jako spadkobiercy niezłomnych bojowników, broniących skarbów mowy ojczystej i wiary pradziadów, ta czwórka poetów dała w swej twórczości wyraz najsłuszniejszej postawie społecznej i narodowej oraz szczerej i czystej religijności.

Malewska od lat najmłodszych zaangażowana w walkę o zachowanie polskości Warmii i Mazur, nie złamana pobytem w hitlerowskim obozie Ravensbruck, do dnia dzisiejszego stoi w pierwszym szeregu aktywnych działaczy na odzyskanych ziemiach mazurskich.

Michał Lengowski, osiemdziesięcioletni poeta, odznaczony za swe zasługi Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski, z takim samym zapałem bierze dziś udział w pracy kulturalno-oświatowej, jak kiedyś w upartej walce plebiscytowej czy w pracy społecznej na emigracji w kopalniach Westfalii.

Podobny wkład w dzieło repolonizacji na Warmii i Mazurach wniósł Ruczyński — poeta ludu warmińsko-mazurskiego i Alojzy Śliwa, zasłużony działacz na polu odrodzenia prasy polskiej na tych terenach.

Na podkreślenie zasługuje fakt, że twórcy „Poezji Warmii i Mazur" to samoucy, którzy przez kilka dziesiątków lat jarzma faszystowskiego mozolnie i żmudnie zdobywali wykształcenie podstawowe, a najwyżej średnie. Ich życie potwierdzało na każdym kroku to, co starali się wyrazić w poezji. Stąd ujmująca za serce szczerość tych wierszy, stąd ich rzetelna prostota, bezpośredniość wzruszeń i nienaruszona świeżość.

Przyjęcie w poczet członków Związku Literatów Polskich stanowi jeden jeszcze dowód uznania, jakim cieszą się poeci warmińsko-mazurscy.

Nie można oczywiście pominąć milczeniem faktu, że poezje ich są pisane gwarą, dzięki czemu tom ten stanowi niewątpliwie ciekawy i jedyny w swoim rodzaju dokument.

Obok wyczerpującego studium o poezji regionalnej, wybór wierszy każdego autora poprzedzony jest obszerną i wyczerpującą notą bio- i bibliograficzną.

AB

*) Maria Zientara-Malewska, Michał Lengowski, Teofil Ruczyński, Alojzy Śliwa — „Poezje Warmii i Mazur". Wyd. Pax. Warszawa 1953 r., str. 194, cena zł 10.

ZA DWANAŚCIE MIESIĘCY

WSZYSTKO wokoło jest tu już dzisiaj inne. Nawet kroki przechodniów brzmią inaczej na świeżym asfalcie. Trudno przypomnieć sobie jak wyglądała ta ulica przed wojną. O ile pamiętam, w tym miejscu, gdzie stoi równiutki czworobok cegieł, a może nieco dalej, było wejście do Teatru Małego i Filharmonii — a tam było kino o nieco pretensjonalnej nazwie „Petit Trianon", obok — oświetlone wystawy sklepowe. Ulica Jasna... Mieszkałem tam przed wojną. Wspomnienie, już bez łezki sentymentu, już zbyt odległe, jak bardzo stary, zapomniany film.

Wieczorami przy ulicy Jasnej jest trochę ciemnawo, zwłaszcza, kiedy snuje się tu, jak pijana czepiając się płotów, sina warszawska mgła. Nad wejściem do prowizorycznego baraku wisi biało czerwona tabliczka z napisem: Zarząd Inwestycji Filharmonii Narodowej. Może ten napis zmylić niejednego, kto nie orientuje się w zawiłościach rozmieszczenia i hierarchii warszawskich zarządów inwestycyjnych i biur urbanistycznych. Bo na Jasnej nie buduje się filharmonii narodowej, a akurat filharmonię warszawską. Wystarczy zajrzeć do tzw. planu generalnego przyszłej Warszawy, aby stwierdzić, że gmach filharmonii narodowej nie jest jeszcze zlokalizowany — chodzą słuchy, że może stanie on przy Placu Zwycięstwa, ale to jeszcze nic pewnego. A budowa filharmonii warszawskiej przy ul. Jasnej kierowana jest przez „Miastoprojekt - specjalistyczne" mieszczące się znowu całkiem gdzie indziej. Taki mały rebus...

Przy ulicy Jasnej jest pracownia architektoniczna — w małym pokoiku, w którym do późnego wieczora płonie światło. Reszta prowizorycznego baraku jest ciemna i pusta — urzędnicy wychodzą wczesnym popołudniem. Ich odpowiedzialność za losy przyszłych pokoleń kończy się z uderzeniem godziny czwartej. Co innego architekci...

Od czasu, kiedy byłem tu ostatnio, wyrosły obok baraku mury parteru przyszłej filharmonii, wsparte na mocnych fundamentach. Teraz mgła chadza już po świeżo zmontowanych stropach pierwszego piętra. Za dwanaście miesięcy w tym samym miejscu puszysty dywan tłumić będzie kroki ludzi spieszących na koncert chopinowski. Wiem, że będzie to całkiem inna publiczność niż ta, którą spotykałem tu na koncertach przed wojną. Nie wykluczone, że na jakimś uroczystym koncercie jubileuszowym spotkam tu pewnego dnia spawacza (wołano na niego „Józiek"), z którym rozmawiałam nie tak dawno, patrząc na Warszawę z wysokości piętnastego piętra Pałacu Kultury i Nauki, i udając, że wśród ażurowych rusztowań czuję się nieomal tak swobodnie jak na sali koncertowej. Myślę, że kiedy spotkam go za rok u wejścia na tę salę, zapełnioną po brzegi i patrzącą nań tysiącem oczu, on z kolei będzie nieco speszony. Zauważyłem, że jest raczej nieśmiały i ma niesforny czub włosów nad czołem, a to zawsze trochę peszy przy uroczystych okazjach. Zwłaszcza gdy mocna, muskularna szyja krępowana jest białym kołnierzykiem. To jasne, że co innego — uwijać się swobodnie na wąziutkiej belce po rusztowaniu, tak wysoko, że prawie pod gwiazdami, a co innego siedzieć na koncercie w wygodnym fotelu. I to w takiej sali, jakiej przed wojną nie było.

Będzie tam główna sala na tysiąc miejsc, a pod nią druga — kameralna. Będzie piękne foyer, wygodne i łatwo dostępne szatnie dla publiczności i dla muzyków (to coś dla was, koledzy z Małej Orkiestry Filharmonii Warszawskiej, którzy w objazdach wieszacie płaszcze na klamkach od drzwi), sale do ćwiczeń i repetycji, sale do nagrań na taśmy magnetofonowe i płyty gramofonowe, specjalne kabiny dla miksera, sprawozdawcy radiowego i operatora filmowego, obszerne pomieszczenia dla administracji budynku. Będzie też dziewiętnaście rodzajów instalacji — świetlnych akustycznych, przeciwpożarowych, sygnalizacyjnych itd. Postara się o to czarodziej od tych spraw, inżynier Faust (nomen omen), oraz prof. Małecki z zakładu elektroakustyki Politechniki. Postarają się o to wszystko konstruktorzy z pracowni „Miastoprojektu", a przede wszystkim inż. arch. Białobrzeski, kierownik pracowni architektoniczej — ten sam, który wraz z projektantem ob. Flisowską i z architektem wnętrz prof. Szparkowskim spędza po 15 godzin nad planami, rzutami, przekrojami itp. Można z nim rozmawiać spokojnie dopiero wieczorem, w dzień ma tzw. „urwanie głowy" — narady robocze, rozmowy urzędowe, konferencje, konsultacje, koordynacje... Dopóki projekt nowego gmachu filharmonii leżał gdzieś „wysoko" lub krążył po różnych resortach, sprawa szła, że tak powiem, spacerkiem — teraz za to terminy wyznaczane poprzednio są nieustannie skracane i trzeba biec do mety najlepszym sprintem zatopkowskim: 31 grudnia 1954 r. w tym miejscu, gdzie teraz trzeba ostrożnie obchodzić dół z wapnem, stać ma gotowy budynek filharmonii. Na razie można go podziwiać na rysunkach porozkładanych na stołach i porozwieszanych na ścianach tej małej, o wiele za małej, pracowni inż. Białobrzeskiego. Filharmonia stanie w obrębie starych murów, w tym samym kształcie i w podobnej architekturze.

W małej izdebce architekta przy ul. Jasnej wyłania się z szeregu szkiców zarys przyszłego gmachu. Tuż obok rośnie sam gmach.

Jeszcze jeden punkt na mapie przyszłej Warszawy nabiera kształtów realnych. Tak chce wielki plan urbanistyczny, którego treścią jest humanizm. Plan, który narodził się wśród oceanu gruzów, a który ma uczynić Warszawę dwumilionową stolicą — o promieniu zasięgu przestrzennego 25 kilometrów, o powierzchni 180.000 ha, o rozległości od Grodziska po Wołomin i od Nowego Dworu po Górę Kalwarię. To wprawdzie muzyka przyszłości, lecz niedalekiej — i najpiękniejsza muzyka, jaką skomponować może człowiek z myślą o człowieku. Piszą ją wielcy urbaniści, rozpisują na głosy skromni architekci i projektanci pochyleni nad szkicami, jak nad partyturą, która zabrzmi w przyszłości symfonią Wielkiej Warszawy.

K. St.

epilogu takie wyznanie Mandragory; tragedia czworga ludzi — to była głupia cząstka m o j e j duszy; bryznęła krew m o j e j głupoty. Znaczy to, że „synteza ludzkich dusz" ma w sobie głupotę jako składnik wszechgłupoty. Taki — dziwaczny — pogląd był Zapolskiej potrzebny, bo z niego miała wyniknąć myśl, na której zależało jej, myśl, że ludzie z „Ich czworo" nie są głupsi od innych, że to tylko zatrute strzały i siły niszczycielskie układają życie w taki sposób, iż niegłupi wydają się głupimi.

Koncepcja Zapolskiej, co prawda nie wolna od myślowych usterek, wnosi myśl, która jest nawiązaniem do myśli Fredry wypowiedzianych w „Panu Jowialskim". W czasie zabawowej kostiumiady młody Ludmir, czyniąc aluzje do losu ludzi, narodów i państw, wypowiada przysłowia: **„I mądry — głupi, gdy go nędza złupi". „Przybądź szczęście, rozum będzie".** Tymi to przysłowiami pozyskuje sobie mądrego starca, który z doświadczeń własnego życia i z rozmyślań o swoim kraju wyciągnął takie same wnioski. Te to przysłowia Ludmira, przedstawiciela młodego pokolenia i młodego polskiego demokratyzmu, czynią na Jowialskim takie wrażenie, że w podziwie mówi o młodzieńcu: **„to jakiś wielki człowiek!"** A moment ten wprowadza zwrot w cały dramat. Otóż: Zapolska po dziesięcioleciach nawiązała do myśli, rzuconych w czasie zabawowej kostiumiady, przez Ludmira, młodego literata. W polskiej literaturze jest o wiele więcej ciągłości niż to się wydaje.

V

Mandragora potwierdza więc sądy, jakie o „głupocie" męża, żony i kochanka wynosimy z dramatu my, czytelnicy i widzowie.

Tym samym z a p r z e c z a s ą d o m w y p i s a n y m p r z e z a u t o r k ę w p o d t y t u l e i w i n s t r u k c j a c h, gdzie ludzie z „Ich czworo" nazywani są głupimi.

Dziwnie postępuje Mandragora,

VI

W jakim celu pozwoliła na to autorka?

Cel był kilkoraki:

Chciała ukazać, jak lekkomyślnie i jak niesprawiedliwie tworzą się sądy o „głupich", którzy nie są głupimi, jak lekkomyślnie wyprowadza się z „głupoty" ludzkie losy, ludzkie tragedie.

Chciała ukazać, że takie lekkomyślne sądy wkraczają również w literaturę, grasują w niektórych kołach literackich i w ogóle artystycznych. Zapolska jakby mówiła: widzicie, co zaszło? ja sama częściowo uległam grasującym lekkomyślnościom; spójrzcie na podtytuł, na instrukcję; nazwałam głupimi... ludzi, którzy głupimi nie są.

Chciała ukazać, że pisarze nie odróżniają powierzchownych i pozornych przyczyn tragedii od głębokich i rzeczywistych, i chciała, żeby te odróżnienia uczyniła postać fantastyczna.

VII

Okazuje się, że Mandragora niejako wie więcej od autorki, że ma więcej mądrości i sprawiedliwości. Można by powiedzieć, że w sprawach życia ludzkiego jest symbolem nadwiedzy.

I to jest w Mandragorze najistotniejsze.

VIII

Stanowczo nieważne są wypowiedzi Mandragory o swym pochodzeniu i bytowaniu: **„Ja jestem ten, z głębiny szarej dziw"... „Z prochu, co na pozór milczy, powstaję ja"...** itp.

Są to rysy zaczerpnięte przez Zapolską z właściwości ziół mandragorskich, zwłaszcza z właściwości ich korzenia: już w starożytności filozof Pitagoras wskazywał na podobieństwo kształtu korzenia mandragory do kształtu człowieka: dziwny korzeń stał się przedmiotem przeróżnych wierzeń, które w wielu krajach utrzymywały się przez stulecia. Wierzenia te prowadziły m. in. do tego, że z mandragorskiego korzenia wykrawano i przechowywano ludzkie postacie. Otrzymywanie go poczytywane było za niezwykle trudne, jako że przy wykopywaniu wydawał ze siebie jęki i krzyki tak przeraźliwe, iż człowiek, który po nie sięgał, mógł umrzeć ze strachu, jeżeli nie znał szczególnych zaklęć.

Z takich wierzeń skorzystała Zapolska. Szare głębiny ziemi, z których powstaje i w których przebywa jej postać fantastyczna, jęczenie i wołanie o pomoc, gdy dłoń przybysza sięga po ludzi - strzępy, to wywodzi się z rysów, w jakich korzeń mandragory ujmowały wierzenia.

Rysy te przeniosła Zapolska na pomyślaną przez siebie postać, nie nadając im jednak ważności, bo myślowo nie o nie chodziło. Były potrzebne jako pojemnik symbolów. Ważne były tylko symbole: symbol wszechduszy i symbol nadwiedzy.

IX

Czy myśli, jakie Zapolska chciała wypowiedzieć swym utworem, mogła wypowiedzieć bez tych symbolów? Więc bez Mandragory, bez prologu i epilogu? W e w n ą t r z s a m e g o d r a m a t u?

Nie. Już choćby z tego powodu, że gdyby wprowadziła w dramat istotę najmędrszą, to i tak ludzie t a k i c h dramatów, t a k i c h spraw życiowych, mówiliby o niej, że jest głupia i traktowaliby zgodnie z tym; sądy tej istoty najmędrszej nie ważyłyby w dramacie dominująco i nie byłyby brane za sąd samej autorki.

Sądy z ważnością dominującą, z ważnością, w której by się słyszało główną myśl autorki, mógł wypowiedzieć tylko ktoś stojący poza dramatem. Właśnie oddzielna postać prologowa i epilogowa.

X

Kształt i mowę Mandragory wywiodła Zapolska z symbolizmu, ale uczyniła to nie z chęci zbliżenia się do „modnego" w owych latach ruchu artystycznego. Skorzystała z „mody", aby urobić postać, która by mogła powiedzieć, czego żaden dramat realistyczny powiedzieć nie może. Jedno z najtrudniejszych chyba zadań, jakie kiedykolwiek postawił sobie dramaturg, próbowała rozwiązać najprostszym w owych czasach pomysłem.

Pomysł, poczęty w cudzej manierze, zrealizowała — prawdę mówiąc — nieudatnie pod względem artystycznym, a i pod względem myślowym nie bez luk i nie bez wad.

Przed samą sobą usprawiedliwiała się może tym, że nawet o wiele lepsze zrealizowanie owego pomysłu nie mogłoby sprostać zadaniu piekielnie trudnemu, zadaniu chyba nierozwiązalnemu.

XI.

Podobno „Ich czworo" lubiła Zapolska bardziej od innych swych dramatów.

Na pewno nie dla zalet artystycznych, które nie są większe niż w innych jej utworach najlepszych.

Wyróżniała „Ich czworo", bo dzięki symbolom Mandragory wypowiedziała tu myśli, które leżały jej na sercu, których nie wypowiedziała w żadnym innym utworze, a które oświetlają całą jej dramaturgię.

Tadeusz Peiper

Redaguje zespół. Prenumerata miesięczna 4 zł Kwartalna 12 zł Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43, tel 9-60 11 (15) Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze. Zakłady Drukarskie i Wklęsłodrukowe RSW „Prasa" W-wa, Marszałkowska 3/5 Zam. 16 5-B-150004

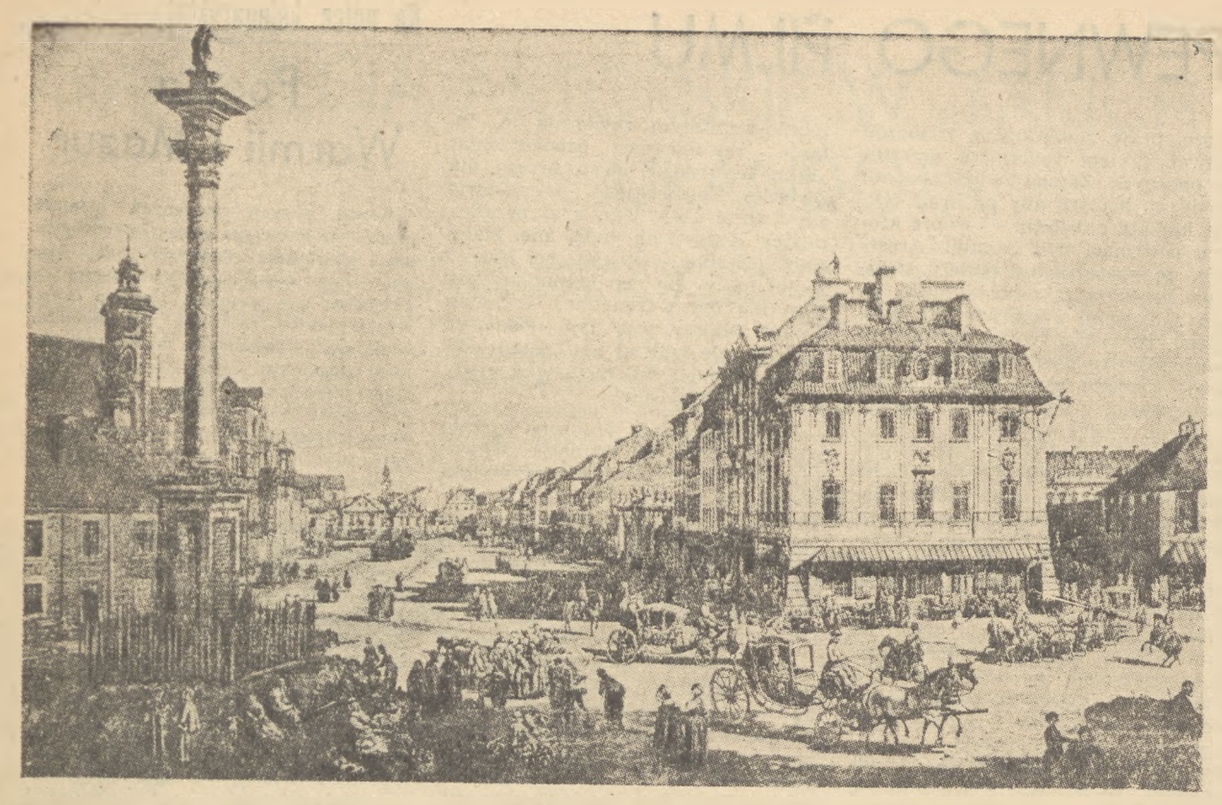

Krakowskie Przedmieście

Canaletto

Zapomnieliśmy, że jego prawdziwe nazwisko brzmiało Bernardo Belotto i że droga jego do Warszawy wiodła przez Drezno z Wenecji, miasta ukochanego przez muzy i artystów. Był tylko jednym z „wielkich", których ona wychowała i natchnęła urzekającym pięknem krajobrazu. Przed nim już do złotej księgi przedziwnego miasta wpisali się: Giovanni Bellini, Giorgione, Tycjan, Veronese, Tintoretto, w całym świecie rozsławiając wenecką szkołę malarską... Ale XVIII wiek przyniósł inny styl w sztuce, inne zainteresowania artystów, inne ujęcia. Mistrz młodego Bernarda Belotto, który wdrażał go w arkana sztuki malarskiej, nie interesował się już scenami z życia świętych, zajmowały go twarze współczesnych. Antonio Canal, zarówno jak znakomity Tiepolo czy Francesco Guardi spoglądając przez okna swoich pracowni i urzeczeni widokiem renesansowych kamieniczek czy dumnych pałaców arystokratycznych tonących swym odbiciem w wodzie kanałów — zrezygnowali z innych tematów poza wizerunkami swojego miasta. Poświęcali mu setki płócien, wyszukując najdrobniejsze fragmenty godne uwagi artysty Wiek XVIII jest bowiem wiekiem rozkwitu „weduty", czyli widoku miejskiego, któremu podporządkowani są ludzie, drobni w porównaniu z pysznymi budowlami epoki baroku.

Po tej samej drodze pójdzie również Bernardo, którego nazwą od nazwiska jego nauczyciela Canaletto. Porzuci niebawem Wenecję, jak wielu innych Włochów, nie wiedząc jak i oni, że już nigdy nie zobaczy kamiennej koronki św. Marka czy pałacu Dożów. Udał się najpierw do Drezna na dwór Augusta III Odnalazł tam liczną kolonię włoską, a w niej znanego nam również z dziejów naszej kultury Marcello Bacciarelli, który również w swojej wędrówce po Europie zatrzymu się na stałe w Warszawie.

W r. 1748 powstaje jeden z najładniejszych widoków miejskich Canaletta: widok ogólny Drezna od strony Nowego Miasta. W dolnej części płótna ukośnie rozciąga się koryto rzeki z przerzuconymi przez nią arkadami mostu. Nad brzegiem wspaniała renesansowa świątynia. Na brzegu widać piaskarzy z łodziami i miejską ludność, która znajduje nad wodą odpoczynek. Canaletto lubił temat malarski rzeki — przypominała mu kanały Wenecji. Tym bardziej, że po Łabie w dni świąteczne sunęły również gondole, a na brzegu barwnie ubrany tłum tańczył i śpiewał. Później na płótnach Canaletta pojawi się poważna, zadumana Wisła... Niebawem, zanim wybuch wojny siedmioletniej nie zniweczy tego powodzenia, Canaletto zostanie malarzem nadwornym Augusta III... Później jednak zubożona przez wojnę stolica Saksonii nie będzie mogła wykarmić swoich artystów i będą musieli gdzie indziej szukać oparcia. Canaletto wybrał drogę na Petersburg, droga ta jednak wiodła przez Warszawę, w której się zatrzymał. Ale urok osobisty króla Stanisława Augusta, jego dar zjednywania sobie ludzi był silniejszy od powziętych projektów. On to sprawił, że Canaletto pozostał już do końca życia w Warszawie.

Dziwne było to miasto, jakie zastał... Na pół mieszczańskie, na pół arystokratyczne... Wspaniałe rezydencje magnackie, otoczone ogrodami, wyrastają wśród nędznych domków miejskiej biedoty, przy ulicach ciemnych, błotnistych i wyboistych. Dopiero gdzieniegdzie wznosi się zamożniejsza kamienica mieszczanina warszawskiego. Ubóstwo szerokich rzesz uderza w oczy, tym bardziej gdy zestawi się je z przepychem magnackich pojazdów mknących środkiem ulic i roztrącających przechodniów I na tym tle środowisko dworskie promieniujące głęboką kulturą, umiłowaniem sztuki...

Musiał jednak Canaletto odnaleźć jakiś urok w tym mieście, skoro poświęcił mu bez reszty swój pędzel i do Rosji już nie pojechał Bez przesady można powiedzieć, że malował Warszawę z pasją. Utrwalał nie istniejące dzisiaj, niezliczone jej fragmenty, unieruchomił piękno zmiennego krajobrazu miejskiego. Pozostawił nam widok na wspaniałą panoramę Warszawy od strony Pragi, skąd widać jak miasto zwolna wstępuje po zboczu skarpy, ku górze. Utrwalił piękne łąki wilanowskie i pola na Woli gdzie odbywała się elekcja ostatniego króla polskiego. Dał przepiękny wizerunek Placu Zamkowego z kolumną Zygmunta, do którego powróciliśmy rekonstruując nasze miasto po zniszczeniach wojennych. Dał całą galerię warszawskich pałaców i kościołów Pałace lubił malować i to w stylu baroku lub rokoka, najbliższym mu duchowo. Ale znajdujemy u niego również małe zgrzybiałe domki i nędzne chaty wchłonięte przez rozrastające się miasto, jak na widoku Powiśla (Widok ogólny). Malował ulicę warszawską w jej przekroju przeciętnym, mknące środkiem karoce ale i ubogi lud miejski, handlarzy, żebraków Służył wiernie miastu, które przyjęło go przyjaźnie i gościnnie... Dzięki niemu możemy dzisiaj urządzić przechadzkę po starej Warszawie. Dopomogą nam w tym i inni artyści tych lat: Vogel i Norblin.

(E)

Nowy Świat

KILKA SŁÓW

o teatrze

PRAPREMIERA SZTUKI LUTOWSKIEGO O GÓRNIKACH — pt. „Kret" odbyła się w Teatrze Narodowym i potwierdziła dalszy rozwój talentu scenicznego autora, widoczny zwłaszcza w szczegółach roboty dramaturgicznej. Zastrzeżenia natomiast budzić mogło i dramaturgicznie, i ideowo, ustawienie centralnych problemów sztuki, związanych z współzawodnictwem pracy i rolą partii oraz niebezpieczeństwem neohitleryzmu. Sztukę, mimo wszystko bardzo żywą i prawdziwą, sprawnie wyreżyserował J. Wyszomirski i świetnie, z całkiem nielicznymi punktami słabszymi, zagrał zespół. Jest to nowy, poważny sukces Teatru Narodowego.

UTEATRALNIENIE ŚLĄSKA POSTĘPUJE NAPRZÓD — Oprócz utrzymanego na dobrym poziomie artystycznym teatru w Stalinogrodzie działają tu dramatyczne teatry w Bielsku-Cieszynie i Opolu, opera w Bytomiu i (pierwszy w Polsce) państwowy teatr operetki w Gliwicach. Przy zmniejszonej ilości premier widownia jest mimo to wypełniona, a wszystkie teatry docierają również z przedstawieniami na prowincję, do Sosnowca, Chorzowa, [illegible]za. W ubiegłym roku wykształcono też w Stalinogrodzie pierwszą kadrę młodych aktorów, zalążek nowego teatru, w początku zaś roku bieżącego powstanie ponadto teatr satyryków.

MIŃSKA INSCENIZACJA „KRÓLA LIRA" w wykonaniu Państw. Rosyjskiego Dramatycznego Teatru BSSR została wysoko oceniona przez bawiących w Związku Radzieckim teatralogów angielskich: M. Mallisona i J. Fernalda. Przedstawienie, odznaczające się dużym, może aż zbyt dużym, jak na angielskie zwyczaje, udziałem muzyki, było ich zdaniem w pełni szekspirowskim z ducha, stylu, humoru, odznaczało się też wybornie utrzymanym tempem.

DLACZEGO NIE GRA SIĘ IBSENA? Kontynuując dyskusję w tej sprawie „Theater der Zeit" wskazuje na konserwatyzm ludzi teatru, wolących grać marginesowe utwory Shawa, niż „przestarzałego" Ibsena. W rzeczywistości Ibsen był nowatorem i postępowym, nieubłaganym krytykiem mieszczaństwa, tylko że prawdziwie realistyczna inscenizacja jego dzieł jest zadaniem trudnym, wymagającym powrotu do teatralności, do natury i prawdy. Mimo wszystko są już teatry w NRD przełamujące abstynencję wobec norweskiego dramaturga, teatr w Meissen np. osiągnął „Norą" rekordową frekwencję, przewyższającą szekspirowskiego „Otella". Z polskich teatrów planuje „Norę" w tym kwartale Teatr „Wybrzeże" w Gdańsku.

NAJSTARSZYM TEATREM MARIONETKOWYM ZSRR jest pochodzący z r. 1919 i obchodzący w tym miesiącu 35-lecie swego istnienia Leningradskij Kukolnyj Tieatr pod kierownictwem E. Demmeni. W repertuarze teatru znajdują się m. in. sztuki: Puszkina (adaptacja „Opowieści o zmarłej carównie"), A. Tołstoja („Złoty kluczyk"), Marszaka, Majakowskiego („Czym być?").

„MŁODA GWARDIA" W OPERZE GDAŃSKIEJ

Doniosłym wydarzeniem w życiu kulturalnym Wybrzeża — stało się wystawienie przez młody zespół Państwowej Opery i Filharmonii Bałtyckiej w Gdańsku, współczesnej opery radzieckiej Juliusza Mejtusa pt. „Młoda gwardia", której libretto oparte zostało na znanej powieści Aleksandra Fadiejewa.

NIEDOSTATKI WSPÓŁCZESNEJ OPERETKI analizuje w nr 75 „Sowietskoj Kultury" E. Groszewa na marginesie premiery „Pierwszej miłości" w Moskiewskim Teatrze Operetki (muzyka Milutina, sztuka Pomieszczikowa i Tipota). Operetka, stwierdza Groszewa, zaczyna coraz bardziej upodabniać się do sztuki społeczno-obyczajowej, melodramatu, w najlepszym wypadku do wodewilu. Twórcy operetkowi zatracili specyfikę i różnorodność środków wyrazu, właściwe temu rodzajowi sztuki. Brak na ogół współczesnej operetce wesołości, żywego dialogu, lekkości obrazów, brak też tańca, wirtuozowskich partii solowych, dobrej bufonady. Przywrócić „operiettie — masterstvo i viesołost" — konkluduje autorka w tytule swej recenzji.

o filmie

NOWELE CZECHOWA NA EKRANIE

Jak wiadomo Antoni Czechow cieszy się wielkimi łaskami u scenarzystów. Ostatnio znowu znany włoski reżyser Antonio Petrucci napisał scenariusz oparty na trzech nowelach tego wybitnego rosyjskiego klasyka W filmie, który będzie miał tytuł „Małż[illegible]wo" w rolach głównych wystąpią: Vittorio De Sica i Silvana Pampanini.

FILM O ZDOBYCIU EVERESTU

Z ostatniej wyprawy himalajskiej, zakończonej zdobyciem najwyższego szczytu świata, Mount Everestu, przez Nowozelandczyka Hillarego i Szerpe Tensinga — jak wiemy, alpiniści brytyjscy przywieźli również barwny film o dziejach ekspedycji nakręcony przez operatora Toma Stabarta. Stabart wędrował ze swymi teleobiektywami i kamerą aż do ostatniego najwyższego obozu i dokonał zdjęć na wysokości, na jakiej dotąd nie nakręcono jeszcze żadnego filmu. Przywieziony materiał jest obecnie opracowywany w Londynie pod kierownictwem Komitetu Himalajskiego Królewskiego Towarzystwa Geograficznego.

FESTIWAL FILMÓW POLSKICH W FINLANDII

W grudniu ub. r. odbył się w Lahti (centrum przemysłowe i kulturalne Finlandii) festiwal filmów polskich, zorganizowany przez Towarzystwo Fińsko-Polskie.

Wyświetlano następujące filmy: „Młodość Chopina", „Ulica Graniczna", „Ostatni etap", „Czarci żleb", „Zakazane piosenki", „Pierwszy start". Oprócz tego wiele filmów krótkometrażowych: „Szeroka droga", „MDM", „Mazowsze", „Częstochowa", „Żerań". Festiwal cieszył się powodzeniem wśród miejscowej ludności.

JAKIE FILMY WCHODZĄ NA EKRANY

W najbliższym czasie ujrzymy szereg ciekawych filmów na naszych ekranach: przede wszystkim wchodzi nowy film polski „Domek z kart" zrealizowany na podstawie sztuki E. Zegadłowicza, granej przez Teatr Współczesny w Warszawie.

Produkcję radziecką reprezentować będzie film „Wiosna w Moskwie" — jest to sfilmowane przedstawienie Wiktora Gusiewa.

Dla miłośników filmu włoskiego niespodzianka: niebawem wyświetlany będzie film „Nadziei za dwa grosze".

Oprócz wyżej wymienionych filmów wchodzą na ekrany naszych kin: „Burza" — film produkcji węgierskiej oraz „Strajk w Szanghaju" — film produkcji chińskiej.

o plastyce

BADANIA NAD LEONARDEM DA VINCI

Jak doniosły francuskie pisma plastyczne w pracowniach konserwatorskich Luwru trwają nadal prace badawcze nad obrazami Leonarda da Vinci znajdującymi się w Paryżu — głównie „Gioconda" i „Madonna wśród skał". Płótna naświetlane są promieniami Roentgena celem uzyskania fotograficznego przekroju płaszczyzny malowidła. Poddaje się je również badaniom promieniami infrafiołkowymi. Dokładny uzyskany tą drogą rozbiór techniki malarskiej Leonarda da Vinci jak nakładania farb, kierunek i grubość pociągnięć pędzlem itp. szczegółów, które dla badaczy mają duże znaczenie. Pozwala z większą niż dotychczas dokładnością ustalić stopień autorstwa wielu spornych obrazów Mistrza z Vinci.

CZY ARTYŚCI MAJĄ PRAWO ŻYĆ?

Pod tym wymownym tytułem ukazał się w „Les Lettres Francaises" artykuł plastyka Jean Ambiard, obrazujący rozpaczliwą sytuację materialną wielu wybitnych plastyków francuskich. Ilość zamówień państwowych zmniejszyła się znacznie, a wykonane są płatne daleko niżej niż opiewa ich istotna wartość. Niektóre dzieła są usuwane wbrew umowie z gmachów publicznych Ambiard podaje przykład znakomitego malarza Marcela Gromaire, którego malowidło ścienne „Zniesienie niewolnictwa" wykonane dla Wersalu zdjęto ze ściany mimo poprzedniej umowy z artystą i przyjęcia oficjalnego dzieła ze strony czynników miarodajnych. Dzieło niszczeje obecnie w którejś z piwnic.

WSPÓŁCZESNA SZTUKA FIŃSKA

W ostatnim czasie w Londynie duże zainteresowanie budzi otwarta w New Burlington Galleries wystawa współczesnej sztuki fińskiej. Na wystawie tej reprezentowane jest zarówno malarstwo jak i rzeźba, a także przedmioty sztuki stosowanej a więc — tkaniny, ceramika, meble i szkła. Aż do początków bieżącego stulecia niewiele można było powiedzieć o malarstwie i rzeźbie fińskiej, obecna wystawa ujawnia jednak ich duży rozkwit i wyraźne wpływy szkoły paryskiej. Tutaj również widoczny jest spór między modernistami i tradycjonalistami, a w ostatnich czasach wyraźny zwrot do realizmu.

Na obecnej wystawie londyńskiej najbardziej interesujące są rzeźby Waino Aaltonena, a z przedmiotów sztuki stosowanej na największą uwagę zasługują piękne szkła i porcelana.

WYSTAWA PLASTYKI W SOFII

W Narodowej Galerii Sztuk Pięknych w Sofii otwarta została wielka doroczna wystawa. Znaczna część prac bułgarskich artystów, malarzy, rzeźbiarzy i grafików poświęcona jest tematyce współczesnej, budownictwu podstaw socjalizmu w Bułgarii.

SZTUKA I BUSINESS

Jak podaje francuski miesięcznik katolicki „Esprit" brazylijski magnat prasowy, Assis de Chateaubriand, postanowił stworzyć własną galerię obrazów. Zakupił więc wiele dzieł sławnych mistrzów takich jak Tycjan, Holbein czy Memling i na jednym z pięter swego drapacza chmur w Sao Paulo otworzył „Muzeum de Arte" — „Świeckie towarzystwo, bez żadnych dochodowych celów".

Ponieważ jednak włożony kapitał zawsze musi procentować w salach muzeum odbywają się konferencje prasowe, spotkania towarzyskie, lekcje tańca lub wykłady ogrodnictwa dla słuchaczy z wyższych sfer. Tak więc przed oczyma zdumionego św. Hieronima pędzla Mantegna defilują modelki prezentujące najnowsze modele Diora, a „Filiette à la gerbe" Renoira — ocalona z nazistowskiego piekła — właściciel jej zginął w obozie koncentracyjnym — traci swój koloryt wśród dymu i alkoholowych oparów.

PAUL CORNET OTRZYMAŁ NAGRODĘ NARODOWĄ

Jury francuskiego Ministerstwa Sztuk Pięknych uchwaliło jednogłośnie przyznanie nagrody Narodowej Pawłowi Cornet, rzeźbiarzowi. Szczęśliwy laureat otrzymał 400.000 franków oraz symboliczną palmę. W roku ubiegłym nagrodę tę otrzymał Roger Bissiere, rzeźbiarz twórca kompozycji abstrakcyjnych. Natomiast twórczość tegorocznego laureata, Paul Cornet nawiązuje do tradycji rzeźby klasycznej. Czyżby było to symptomem odwrotu w sztuce współczesnej od nadrealizmu i abstrakcjonizmu?

o literaturze

LUCA CARAGIALE, ZNAKOMITY SATYRYK RUMUŃSKI XIX W., za życia długoletni emigrant polityczny, dopiero po tej wojnie staje się znany w szerokim świecie. Jego świetny „Zgubiony list", zjadliwa sztuka o parlamentarnej demokracji końca ubiegłego wieku, ukazał się niedawno w ilustrowanym wydaniu książkowym we Francji. Sztuka, której prapremierę polską dał po wojnie Teatr Powszechny, grana jest też coraz częściej w Niemczech, m. in. w Lipsku i ostatnio w Berlinie, w Teatrze im. Gorkiego.

ANTOLOGIA PISARZY POLSKICH UKAŻE SIĘ W ZSRR

Nakładem Wydawnictwa Literatury Dziecięcej ukaże się m. in. wydany w języku rosyjskim zbiór opowiadań i wierszy pisarzy polskich. Do zbioru tego wejdą utwory: J. Tuwima. W. Woroszylskiego, M. Słomczyńskiego, M. Michalskiej i J. Broniewskiej.

STEFAN LICHAŃSKI

Nowe poezje

Roman Kołoniecki: „Powrót na Stare Miasto" „Czytelnik" Warszawa 1953, str. 30, 2 nlb.

„Powrót na Stare Miasto" jest nowym debiutem Kołonieckiego. Tak jest, nowym debiutem. Zdaję sobie dobrze sprawę z tego, jak dziwacznie z pozoru brzmi to określenie, ale jednak nie uważam go za „udziwniającą" felieton krytyczny metaforę. Autor „Sola fletowego", wybitny znawca i tłumacz poezji francuskiej, pozostawał jako twórca w kręgu owej herezji intelektualnej, którą godziłoby się nazwać „europeizmem". Europeizm, herezja typowo inteligencka uważała za najpełniejszą i najświetniejszą realizację ideału twórczości kulturalnej dorobek sztuki i myśli zachodnio - europejskiej, a przede wszystkim francuskiej. Ta orientacja „twarzą na zachód" posiadała wyraźne konsekwencje ideologiczne. Wytwarzała ona również u jej wyznawców przekonanie, że są misjonarzami i pionierami europeizmu na terenach „kresowych", rycerzami z pogranicznych stanic „Zachodu". „Zeuropeizować" swój kraj, dostroić tonację jego życia umysłowego i artystycznego do paryskiego kamertonu — oto było zadanie, oto cel i ideał dążeń nadwiślańskiego paryzjanizmu.

Nikt nie skodyfikował nigdy w sposób zupełnie wyraźny założeń i celów tej sekty. Nie znalazła ona swego Mahometa i swego Koranu. Mimo to trwała i prosperowała. Decydowały o tym determinanty społeczne: pisarz-inteligent, jeżeli nie przeszedł na pozycje rewolucyjnego protestu przeciw istniejącemu ustrojowi, był — chcąc czy nie chcąc — rezydentem mieszczaństwa.

Jedni godzili się z tym stanem rzeczy bez większego oporu: urabiali sobie odpowiednie przekonania, kształtowali na miarę swego czytelnika i swego wydawcy swój światopogląd — i czuli się całkiem dobrze. Inni próbowali stawiać się okoniem i brnęli w jałowe, bezowocne, nihilistyczne buntarstwo. Inni jeszcze, myślący jasno i trzeźwo, ale cierpiący na chroniczny indyferentyzm moralny, bawili się cynicznie w „epatowanie burżuja", śmiejąc się w kułak z niego, ze swej sztuki i z siebie samych.

Byli jednak i tacy, którzy uległszy pokusom europeizmu zachowywali wobec niego pewną dozę krytycyzmu i zwątpienia. Ich sumienie intelektualne nakazywało im nieufność wobec bóstw mieszczańsko - inteligenckiego snobizmu.

Do tych wątpiących i nieufnych należał Roman Kołoniecki. W pierwszym swym tomiku, „Wschody i zachody" pisał:

Nie wiem — nie wiem, skąd jestem —
kim jestem,
jakiej siły uciska mnie brzemię.
Liści zwiędłych, pożółkłych szelestem
pozdrawiam ziemię.
— — — — — — — — — — —
Z ran spłakanej cedrowej kory
spadam kroplą żywicy w glebę,
a w upiorne. umarłe wieczory
kłamię, że jestem chlebem.

Z. S.

„Kłamię, że jestem chlebem". Poezja „europeizująca", poezja artystów nie wiedzących skąd są i kim są. świadomych tylko tego, że „pozdrawiają ziemię" „zwiędłych liści szelestem", nie mogła być chlebem. „Nikt o nasz śpiew nie wołał" — skarży się poeta w innym wierszu tego zbiorku.

A przecież przez karty „Wschodów i zachodów" przesuwa się możliwość innej poezji, poezji wyrastającej z kontaktu z realnym światem, z żywym człowiekiem, z konkretnymi siłami dziejotwórczymi. To w apostrofie do Kochanowskiego wspomni poeta o Warszawie, która jest „jak najdźwięczniejsza lipa zgrzebnego Mazowsza", to w wierszu „Węgiel" uderzy w ton społecznego buntu, to znów w utworze „Ci, którzy idą" zadeklaruje swoją solidarność ze wzbierającym nurtem rewolucyjnego zrywu: „Chcę pójść z wami".

Tych możliwości poeta nie rozwinął. Przeszedł na pozycje estetyzującego i kosmopolityzującego europeizmu. Ale ów świat, któremu zresztą nigdy w pełni nie zaufał, wobec którego zawsze zachowywał postawę ostrożnego sceptycyzmu, zawiódł go, jak zawiódł zresztą wszystkich uparcie zwracających się „twarzą na zachód". Dlatego po „Elegiach zielonoświątecznych" poeta milknie. Poezja, która „nie jest chlebem", nie byłaby przecież dzisiaj dosłyszalna. Musiałaby się stać kołysanką nuconą przez samotnika samemu sobie.

I po latach milczenia przemówił poeta znowu. „Powrót na Stare Miasto" jest obrachunkiem ze sobą i jest zapowiedzią, programem dalszej twórczości. Poeta znalazł się znów na pozycji wyjściowej, tej samej, co we „Wschodach i zachodach", ale bogatszy o całe ćwierćwiecze doświadczeń człowieka i artysty.

Słuchajcie, budowlani: nareszcie,
nareszcie
W milczenie najboleśniejsze, w milczenie słabości,
Polały się łzy me — tu, na Starym Mieście...
Serce otwieram dla was jak wrota na rozcież!

Ta strofa otwierająca „Powrót na Stare Miasto" poddaje zasadniczy ton poematu. Bo powrót ten to nie tylko powrót do podźwigniętej z gruzów ojczyzny dzieciństwa poety, to także powrót do życia i spraw tych ludzi, od których odszedł niegdyś uwiedziony pokusami sztuki „czystej", „absolutnej", sięgającej chętnie po problematykę „człowieka w ogóle", ale niezbyt chętnie zajmującej się konkretnym człowiekiem swojej epoki. Odbywa się w tym poemacie rachunek społecznego sumienia artysty — i to jest w „Powrocie na Stare Miasto" sprawą najważniejszą. Wydaje mi się rzeczą niewłaściwą tropić w tym utworze momenty przestylizowań, zbyt może natarczywie podkreślaną deklaratywność poszczególnych wypowiedzi czy pogłosy dawnej z francuska nadrealistycznie estetyzującej maniery w obrazowaniu. Najważniejszy w „Powrocie" jest jego „gest wewnętrzny", gest ostrego, bezlitosnego rozrachunku z własną przeszłością. Jest w tej odwadze rozpoczynania drogi na nowo urok odzyskanej młodości A powiedział ktoś przecie, że późna młodość jest dobrą młodością.

Stefan Lichański